

Na demograficznych rozdrożach

GUS opublikował wyniki spisu powszechnego, z których wynika, że Polaków oraz Polaków-katolików jest coraz mniej. Nie wszędzie sytuacja jest jednakowa. Depopulacja dotyka przede wszystkim wsi oraz obszarów, które „przegrały” transformację gospodarczą po 1989 roku. Szczegółowe omówienie wyników spisu w tekście Kacpra Zieleniaka



Zdjęcie: Candace McDaniel/metagivspace.co

„Fenestra” Rekrutuje!

Prześlij nam swój artykuł zgłoszeniowy do 6 listopada, pod adres fenestra.uam@gmail.com. Szczegóły na fanpage'ach „Fenestry”! Zapraszamy Cię do wspólnego opowiadania dziennikarskich historii!

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 103 ■ PAŹDZIERNIK 2023

Koniec PiS-u, opozycja u władzy

Wielka mobilizacja Polaków, rekordowa frekwencja i wreszcie szansa na życie w demokratycznym państwie. Kolejki do urn w niektórych miastach stały nawet do trzeciej w nocy. Znamy już wstępne/oficjalne wyniki historycznych wyborów. Co oznaczają i co czeka nas teraz?

PiS: 35,38%, KO: 30,70%, Trzecia Droga: 14,40%, Lewica: 8,61%, Konfederacja: 7,16%. Do, Bezpartyjni Samorządowcy: 1,86 proc. Polska Jest Jedna: 1,73 proc. Sejmu nie wchodzi Bezpartyjni Samorządowcy oraz Polska Jest Jedna. Oto wyniki wyborów 2023 w procentach. To, co jednak liczy się najbardziej, to mandaty. Tych PiS otrzymuje 194, KO 157, Trzecia Droga 65, Lewica 26, a Konfederacja 18. Mimo że to PiS zajmuje pierwsze miejsce na podium, trzy partie demokratyczne zdobyły razem 248 miejsc, a zatem większość sejmową, która pozwoli im na utworzenie opozycyjnego rządu. Po ośmiu latach rządów PiS-u nadchodzi zmiana, jednak nie tylko dlatego wybory 2023 przejdą do historii, ale także za sprawą rekordowej frekwencji. W tym roku zagłosowało aż 74% uprawnionych do głosowania. Po raz pierwszy do urn poszło więcej kobiet niż mężczyzn. Swoją obywatelską powinność chętnie wypełniali też młodzi ludzie. Wyborcy w grupie wiekowej 18-29 okazali się liczniejsi niż wyborcy w wieku 60+.

Zwycięstwo, które jest przegraną

15 października o godzinie 21, kiedy opublikowane zostały pierwsze wyniki Exit Pollu, a wraz z nimi pojawiła się realna szansa na odsunięcie PiS-u od władzy, w sztabach



Wszystko wskazuje na to, że kolejnym szefem rządu zostanie Donald Tusk

wyborczych partii opozycji demokratycznych rozpoczęło się wielkie świętowanie. Donald Tusk mówił o tym, że nigdy nie cieszył się tak z drugiego miejsca, Szymon Hołownia zapowiadał koniec kłótni i rozdawnictwa, a Robert Biedroń ogłaszał, że „dzisiaj skończył się PiS”. Nie wszystkim było jednak do śmiechu. Podczas gdy lider Konfederacji, Sławomir Mentzen, ze sceny z grobą miną przyznawał się do porażki i zastanawiał się, co poszło nie tak, Jarosław Kaczyński postanowił obrać inną strategię.

– To jest naprawdę wielki sukces naszej formacji i naszego projektu dla Polski. (...) Musimy mieć nadzieję, że niezależnie od tego, czy będziemy przy władzy, czy będziemy w opozycji, to ten projekt będziemy na różne sposoby realizować – mówił prezes PiS-u chwilę po ogłoszeniu wyników sondażu Exit Poll. Zaraz potem osoby zgromadzone na sali zaczęły głośno skandować „Jarosław! Jarosław!”.

Podobnie jak inni przedstawiciele partii jeszcze rządzącej, Kaczyński próbował zakłinać rzeczywistość.

”Racjonalnym krokiem ze strony Andrzeja Dudy byłoby powołanie premiera, który będzie przedstawicielem opozycji. PiS ze swoimi 194 mandatami nie będzie w stanie utrzymać swojego premiera, ponieważ z pewnością zostanie przegłosowany przez opozycję. Kandydat PiS-u nie otrzyma wotum zaufania. Aby ta partia mogła zachować władzę, musiałaby wejść w koalicję, jednak w obecnych warunkach nie będzie miała z kim

Podkreślał czwarte zwycięstwo w dziejach partii i podkreślał, że ostateczne wyniki mogą być całkiem inne niż te sondażowe.

Czy PiS na pewno odda władzę?

Słowa Kaczyńskiego wywołały duże zamieszanie w sieci. Internauci zaczęli zastanawiać się, co mogą oznaczać wspomniane „różne sposoby”. Na TikToku pojawiły się rozmaite teorie spiskowe na temat tego, jak PiS mógłby próbować zachować władzę. Wśród nich nawet możliwość wprowadzenia stanu wojennego albo użycia siły. Jednak jak mówił Andrzej Stankiewicz w powyborczej

„Łoży prasowej”, nie jest to prawdopodobna wersja wydarzeń. Biana Mikołajewska podkreślała natomiast, że zamiast niedemokratycznych prób utrzymania się na czele państwa, możemy się spodziewać gry na czas i utrudniania procesu przekazania władzy ze strony polityków PiS-u.

Wybory i co dalej?

Wiemy już, że trzy partie opozycji demokratycznej mają szansę utworzyć wspólny rząd. Jak to zrobić? W ciągu 30 dni od wyborów prezydent zwołuje posiedzenie Sejmu i Senatu, podczas którego premier Mateusz

Morawiecki powinien podać obecny rząd do dymisji. Potem prezydent ma 14 dni na powołanie nowego premiera, ten z kolei powoła nowy rząd. Nowy premier i nowy rząd w ciągu kolejnych 14 dni muszą otrzymać wotum zaufania od Sejmu, aby kontynuować rządzenie państwem. Jeśli tak się nie stanie prawo do przedstawienia innego kandydata na premiera otrzymują posłowie Sejmu.

Racjonalnym krokiem ze strony Andrzeja Dudy byłoby powołanie premiera, który będzie przedstawicielem opozycji. PiS ze swoimi 194 mandatami nie będzie w stanie utrzymać swojego premiera, ponieważ z pewnością zostanie przegłosowany przez opozycję. Kandydat PiS-u nie otrzyma wotum zaufania. Aby ta partia mogła zachować władzę, musiałaby wejść w koalicję, jednak w obecnych warunkach nie będzie miała z kim. Konfederacja jasno mówi, że na taką współpracę nie pójdzie, natomiast przedstawiciele trzech pozostałych komitetów w powyborczej „Kawie na ławę” podkreślali, że nie widzą innej możliwości niż ich wspólna koalicja.

Powołanie premiera z PiS-u byłoby więc jedynie grą na czas, który może się przydać, chociażby na niszczenie dokumentów, jak sugerowała Joanna Mucha z Trzeciej Drogi w rozmowie z Konradem Piaseckim w TVN. Podczas tej samej dyskusji przedstawiciel kancelarii prezydenta, Andrzej Dera oraz poseł PiS-u, Jarosław Selin podkreślali jednak, że obyczaj parlamentarny jest taki, że możliwość stworzenia rządu otrzymuje w pierwszej kolejności zwycięzca wyborów. Potwierdzili tym samym wersję wydarzeń, w której na opozycyjny rząd trzeba będzie czekać prawie dwa miesiące.

Najbliższe dni okażą się więc decydujące. O wybór opozycyjnego kandydata na szefa rządu apelował do Andrzeja Dudy nawet sam Aleksander Kwaśniewski. Donald Tusk przyznał natomiast, że nie wierzy w złą wolę prezydenta.

Karolina SZMYGIN

Różni choć podobni

Lewica i Konfederacja mają zupełnie inne spojrzenie na gospodarkę, kwestie społeczne czy politykę klimatyczną. Różnic pomiędzy tymi ugrupowaniami, jak i ich wyborcami, jest wiele. Są jednak pewne elementy, takie jak wiek elektoratu, które pozwalają mówić o podobieństwach między partiami.

Zdawałoby się, że tak odmiennie partie nie mają ze sobą nic wspólnego. Wyborcy obu partii też raczej za sobą nie przepadają. W sieci wyzywają się wzajemnie od „julek” i „prawaków”. Całkowicie inne podejście do wielu spraw sprawia, że zwykle brakuje zrozumienia pomiędzy tymi grupami społecznymi. Wyborcy Konfederacji i Lewicy wydają się więc zdecydowanie różni, jednak wbrew pozorom pod pewnymi względami są do siebie podobni.

Ideale młodych ludzi

Pierwszym wspólnym elementem jest podobny wiek elektoratu. Zarówno na Konfederację, jak i na Lewicę głosuje najwięcej młodych ludzi. Chcą oni zmian, ponieważ są de facto przyszłością tego kraju. Wyborcy obu partii myślą nie tylko o tym, co tu i teraz, ale także o Polsce za kilka, może kilkadziesiąt lat. Nic więc w tym dziwnego, że obie partie poruszają temat przyszłości. Największą część wyborców lewicy stanowią młode kobiety (wg wrześniowego sondażu Ipsos dla OKO.press i TOK FM 46% głosujących na Lewicę to kobiety w wieku 18-39 lat), a młodzi mężczyźni stawiają zdecydowanie częściej na Konfederację (ten sam sondaż pokazuje, że 70% głosujących na Konfederację to mężczyźni w wieku 18-39 lat). Zdaje się też, że właśnie ze względu na wiek wyborców, obie partie prezentują zdecydowane stanowiska. Osoby o centrowych poglądach powiedzą nawet, że zarówno jedna, jak i druga partia reprezentują skrajne, wręcz radykalne poglądy. Choć polskiej Lewicy daleko do komunizmu, o który jest oskarżana, to gospodarczo jest zdecydowanie bardziej za państwem opiekuńczym niż partię określaną jako centrowe czy liberalne. Konfederacja z kolei opiera swój przekaz na czysto pravicowych ideach. Zdaje się, że to właśnie młodzi mają bardziej zero-jedynkowe podejście do świata i żyją idealami. Chcą zmiany, która według nich doprowadzi do lepszej przyszłości, wobec czego nie chcą pójść na żadne ustępstwa.

Przyszłość, której (nie)chcemy

Jednak pomimo podobnego wieku i stanowczości w poglądach, wyborcy tych partii mają zupełnie inne wizje tego, jak ma wyglądać Polska ich



Wyborców Konfederacji i Lewicy łączy głównie fakt, że są młodymi ludźmi

„Wyborcy Konfederacji i Lewicy, ale też same te partie, mają ze sobą trochę wspólnego. W przeważającej większości jest to młody elektorat, który czuje, że jest przyszłością kraju. Wyborcy tych ugrupowań reprezentują zdecydowane stanowisko i nie uznają kompromisów.

marzeń za kilka czy kilkadziesiąt lat. Jakiegokolwiek regulacje dotyczące ochrony środowiska dla Konfederacji to przymus i bezsensowne przepisy. Wręcz zamachach na wolność. Dlatego też uważają, że Polska powinna wypowiedzieć pakiet FIT for 55, choć to wiąże się z wystąpieniem kraju z Unii Europejskiej. Ostatecznie dla nich liczy się własny komfort, który streszczają w chwytliwym hasle „Dom, grill, trawa, dwa samochody i wakacje dla każdego pracującego Polaka”. Dla Lewicy działania

mające na celu zmniejszenie wpływu człowieka na środowisko, to podstawa funkcjonowania społeczeństwa, które myśli o przyszłości – nie tylko swojej, ale też planety.

Tych różnic w wizji idealnego kraju jest zdecydowanie więcej. Dla Konfederacji Polska marzeń to ta z niskimi podatkami, gdzie każdy bierze odpowiedzialność za siebie, a zapewnianie opieki zdrowotnej przez państwo nie ma racji bytu. Lewica stoi po drugiej stronie i proponuje wiele programów społecznych, które

mają na celu zwiększenie dobrobytu i polepszenie jakości życia przeciętnego obywatela. Kwestie takie jak kryzys mieszkaniowy lub brak dostępności żłobków to ważne dla nich problemy, które wymagają szybkiego rozwiązania. Do tego dochodzą różnice światopoglądowe. Lewica mówi „nie” przywilejom Kościoła Katolickiego w państwie i postuluje większą rozdzielną tych dwóch podmiotów. Partia ta popiera także małżeństwa jedнопłciowe czy liberalizację prawa aborcyjnego. Konfederacja natomiast chce utrzymać konserwatywny porządek i uważa, że prawo powinno być budowane w oparciu o naukę Kościoła Katolickiego (proponuje na przykład zawieranie „małżeństw nierozłącznych”). Jak na wolnościową partię, chce zakazywać zaskakująco wielu rzeczy, chociażby ślubów osób tej samej płci.

Antysystemowość różnie rozumiana

Różnic jak widać jest wiele. Czy jest jednak coś, prócz młodego wieku elektoratu i zdecydowanego stanowiska, co łączy te partie? Tak – antysystemowość. Choć jest ona zupełnie inaczej rozumiana przez te dwa środowiska. Dla Konfederacji oznacza to walkę z systemem, który nie jest w pełni wolnorynkowy. W Polsce występują pewne ograniczenia, które mają bronić interesu pracowników czy wynajmujących mieszkania. Nie ma więc w pełni wolnego rynku. Do tego dochodzą podatki, które według wyborców Konfederacji są złem samym w sobie i hamują rozwój wielu branż. Dla Lewicy antysystemowość oznacza z kolei walkę z dominującym systemem kapitalistycznym. Chcą państwa opiekuńczego, które da możliwość dogodnego życia wszystkim osobom, które nie mają warunków, aby samodzielnie poradzić sobie w obecnym systemie gospodarczym. Chcą wyrównać szanse, tak aby nie tylko przedsiębiorcy czy osoby dobrze usytuowane miały dostęp do wielu dóbr na rynku, ale także przeciętni obywatele.

Wyborcy Konfederacji i Lewicy, ale też same te partie, mają ze sobą trochę wspólnego. W przeważającej większości jest to młody elektorat, który czuje, że jest przyszłością kraju. Wyborcy tych ugrupowań reprezentują zdecydowane stanowisko i nie uznają kompromisów. Obie partie są antysystemowe, jednak antysystemowość pojmują zupełnie inaczej. Różnic jest więc zdecydowanie więcej i są one znaczące.

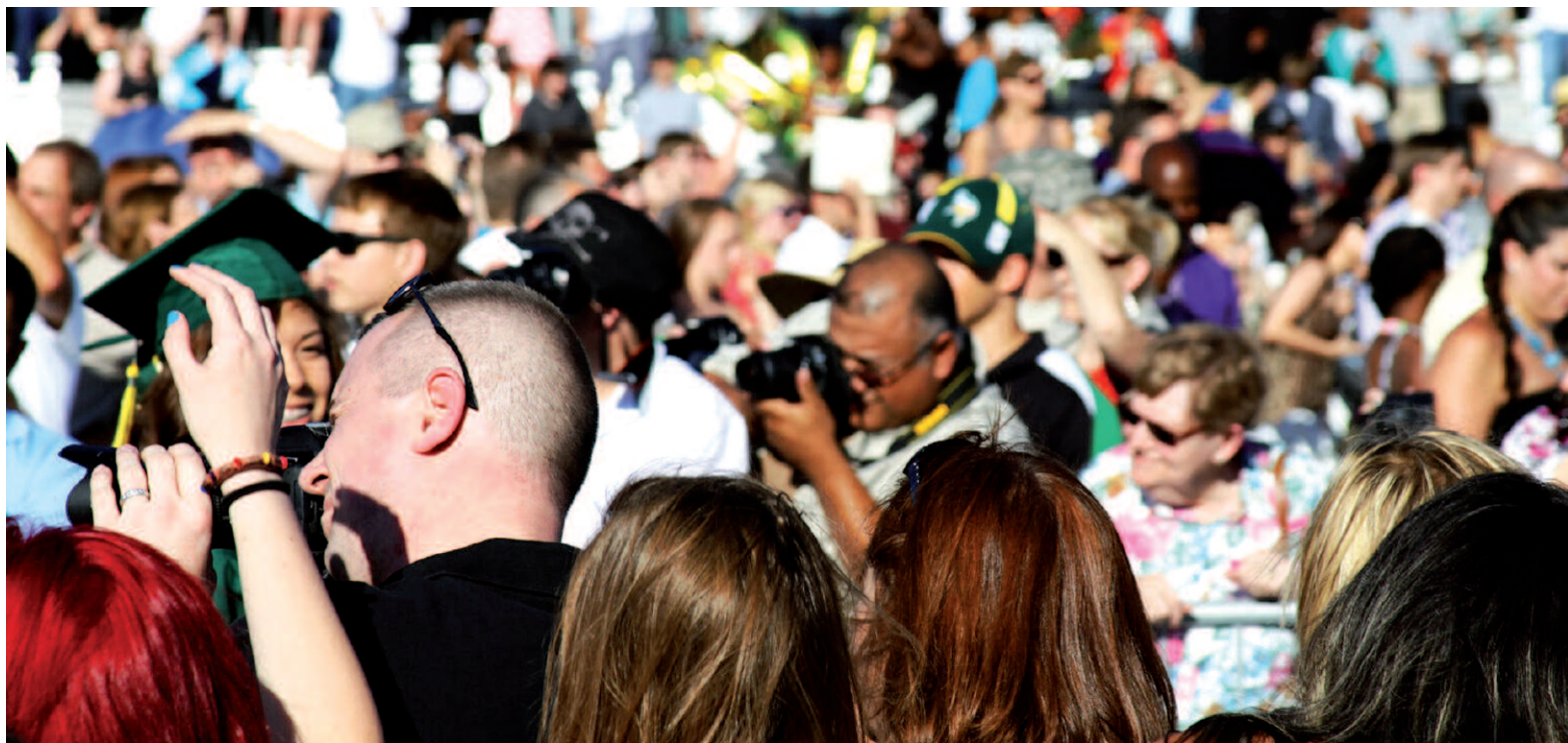


Dla Konfederacji programy socjalne proponowane przez Lewicę to po prostu rozdawnictwo pieniędzy

OLIMPIA OLIK

Na demograficznych rozdrożach

Główny Urząd Statystyczny sukcesywnie publikuje dane z przeprowadzonego dwa lata temu spisu powszechnego. Pod koniec września dowiedzieliśmy się, że Polska nie jest tak bardzo katolickim krajem, jak chcieliby traktować ją niektórzy politycy i hierarchowie kościelni. Zmiany zachodzą również w innych dziedzinach badanych przez GUS. Jest nas coraz mniej, a przyszłość rysuje się pod znakiem rychłej katastrofy demograficznej.



Polska staje się coraz bardziej różnorodna etnicznie i religijnie

28 września GUS udostępnił materiały zawierające dane o przynależności religijnej Polek i Polaków w 2021 roku. Okazało się, że odsetek osób deklaruujących wiarę katolicką spadł aż o 16 punktów procentowych względem poprzedniego spisu. Zgodnie z danymi GUS, katolicy stanowią „jedynie” 71% populacji Polski, co jest najniższym wynikiem po 1989 roku. Rozpatrując liczby bezwzględne, zdeklarowanych katolików jest aż o 6,6 miliona mniej niż dekadę temu.

Druga Irlandia?

Jeszcze do niedawna „obowiązywał” konsensus, chętnie podnoszony przy okazji ideologicznych sporów, jakoby Polska była krajem w ponad 90% katolickim. Padały tutaj różne szacunki, od 92 do 95 procent. Jeśli spojrzymy na liczbę osób ochrzczonych (najkorzystniejsze demograficznie rozwiązanie z perspektywy Kościoła), to być może wciąż uzyskalibyśmy tak wysoki odsetek katolików w Polsce. Warto pamiętać, że stosunkowo niewiele osób decyduje się na „ostateczny” krok, jakim jest dokonanie oficjalnego aktu apostazji. Co prawda brakuje zbiorczych danych, które pozwoliłyby określić ogólnokrajowe rozmiary tego zjawiska, lecz na podstawie dostępnych danych pochodzących z miejskich archidiecezji (krakowskiej i poznańskiej), wynika, że co roku kilkaset osób oficjalnie występuje z Kościoła. Znacznie większa część decyduje się na apostazję „prywatną”, to znaczy zwyczajnie przestaje utożsamiać się z wiarą katolicką bądź z samą instytucją Kościoła. Według poprzedniego spisu powszechnego, przeprowadzonego w 2011 roku, z Kościołem katolickim identyfikowało się aż 87% Polaków, co plasowało nas w świat-

” Poziom dzietności w Polsce miał już wielokrotnie osiągnąć swoje dno, lecz ostatnimi laty puka w nie od spodu. Liczba urodzeń przypadająca na kobietę maleje konsekwentnie od 2017 roku, kiedy wyniosła 1,45.

wej czołówce pod kątem rozpozszechnienia katolicyzmu w skali ogółu społeczeństwa. W Europie ze świecą było szukać bardziej „wiernego” kraju. Wystarczyła dekada, aby w naszym społeczeństwie zaczęły zachodzić drastyczne zmiany. Trudno jednoznacznie ocenić, co jest w przypadku naszego kraju decydującym czynnikiem przyspieszającym gwałtowną sekularyzację społeczeństwa. Być może są to liczne afery związane z problemem pedofilii w Kościele lub obserwowany od początków rządów Zjednoczonej Prawicy swoisty mariaż tronu z ołtarzem, którego wizualnym symbolem stały się częste odwiedziny czołowych polityków PiS na Jasnej Górze, gdzie występowali ramię w ramię z hierarchami. Historia chociażby Irlandii czy Hiszpanii pokazuje jasno, do czego prowadzi wzajemna agitacja i ideologiczna kooperacja na linii państwo-kościół. Kończy się masową sekularyzacją i laicyzacją życia społecznego, w czasie kilku dekad spychającą katolicyzm na margines.

Widmo depopulacji

Poziom dzietności w Polsce miał już wielokrotnie osiągnąć swoje dno, lecz ostatnimi laty puka w nie od spodu. Liczba urodzeń przypadająca na kobietę maleje konsekwentnie od 2017 roku, kiedy wyniosła 1,45. To dużo mniej niż wartość wymagana, aby osiągnąć tak zwany współczynnik zastępowalności pokoleń, wynoszący 2,1. W zeszłym roku w Polsce rodziło się średnio 1,26 dziecka

na kobietę. Co to oznacza? Problemy gospodarcze, zmniejszenie rozmiaru siły roboczej, narastanie niewydolności systemu emerytalnego a także kaskadowe przyspieszenie spadku populacji Polski. Jeśli nic się nie zmieni, według danych opracowywanych przez stronę World Population Review, za 30 lat będzie nas o blisko dziewięć milionów mniej. Już teraz wynosiła 38,5 miliona osób, obecnie jest to niecałe 37,8 miliona. Co robić? Polityka prorodzinna PiS to fikcja, szczególnie w sytuacji, gdy restrykcyjne prawo aborcyjne skutecznie odstrasza kobiety od macierzyństwa, a sytuacja na rynku mieszka-

niowym to katastrofa. Być może rozwiązaniem jest imigracja? Na krótką metę tak, na dłuższą niekoniecznie. Demografowie zauważają, że imigranci w ciągu zaledwie dwóch pokoleń „dostosowują” się poziomem dzietności do ludności rodzimej. Masowa imigracja wiąże się również z wyzwaniami społecznymi, w postaci asymilacji oraz dostosowania infrastruktury do potrzeb jej nowych użytkowników. Napływ uchodźców z ogarniętej wojną Ukrainy pokazał, że to nie takie proste.

Demograficzni przegrani

Sytuacja demograficzna nie jest w Polsce jednolita. Depopulacja dotyczy przede wszystkim średniej wielkości miast oraz regionów wiejskich które nie wchodzą w skład aglomeracji skupiających się wokół ośrodków wojewódzkich. Wyludniają się także niektóre miasta, w szczególności Łódź oraz gminy tworzące policentryczną aglomerację Górnośląskiego Okręgu

Przemysłowego. Łódź, która pod koniec lat osiemdziesiątych była drugim największym miastem Polski, zbliżającym się wielkimi krokami do miliona mieszkańców, w 2021 roku miała ich już tylko około 670 tysięcy. Wypadła również z aglomeracyjnego podium, wyprzedzona w 2007 roku przez Kraków a w roku 2021 przez dynamicznie rozwijający się Wrocław. Katowice w latach 2011-2021 straciły blisko 30 tysięcy mieszkańców. W tym samym okresie, Warszawa zyskała ich 162 tysiące, a Kraków niemal 41 tysięcy. Te dane pokazują, że w Polsce mamy zarówno miasta przyciągające rzesze nowych mieszkańców, jak i takie, które znalazły się w trudnej do przezwyciężenia demograficznej zapaści. Ludzie dosłownie z nich uciekają, a nieudana transformacja gospodarcza obszarów zdominowanych przez przemysł ciężki rzutuje na stosunkowo niską atrakcyjność tamtejszego rynku pracy.

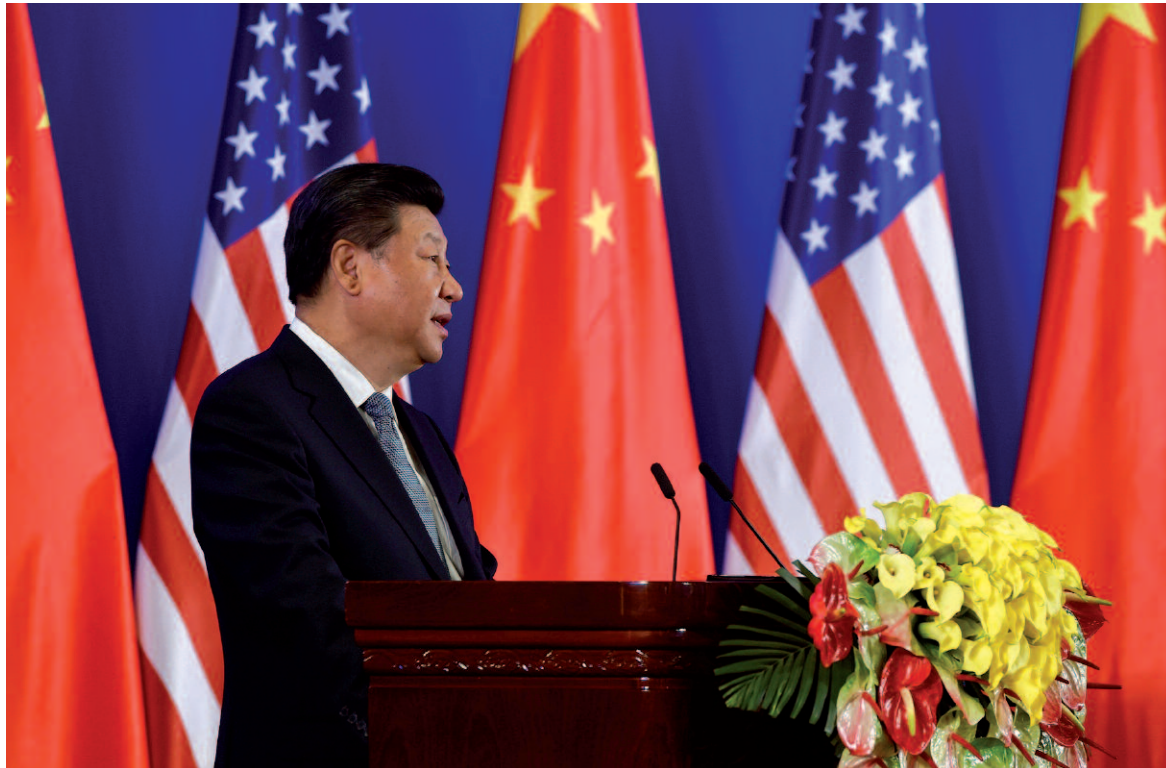
Kacper ZIELENIAK



Depopulacją zagrożone są szczególnie wsie

Chiński cud gospodarczy dobiega końca

Chiny od lat 80. ubiegłego wieku przeistoczyły się z kraju doświadczonego klęsk głodu w drugą gospodarczą potęgę świata. Wielkie inwestycje i postęp technologiczny budziły podziw wśród zagranicznych obserwatorów. Jednak w ostatnim czasie z Chin dochodzą coraz bardziej niepokojące sygnały gospodarcze. Dlaczego dotychczasowy model gospodarczy ChRL nie działa już tak dobrze? Jak spowolnienie gospodarcze Chin wpłynie na ich politykę? Jak w tej sytuacji może się odnaleźć Polska?



Xi Jinping, przywódca Chińskiej Republiki Ludowej

” Niepokój ekspertów nadal budzą chińskie ambicje włączenia Tajwanu do swojego państwa i zdominowania kluczowego dla światowego handlu Morza Południowochińskiego. Chiny są jednak drugim mocarstwem świata i trudno będzie rozwiązać problemy globalne, w tym kwestię globalnego ocieplenia, bez współpracy z tym krajem.

dzięć na solidne odbicie chińskiej gospodarki, które poprawi koniunkturę na całym świecie.

Niestety dane gospodarcze spływające z Chin budzą niepokój na światowych rynkach. Popandemiczne odbicie gospodarki było słabsze, niż zakładano. Coraz częściej eksperci mówią o wchodzeniu Chin w okres stagnacji. Chińskie władze zrezygnowały w sierpniu z publikacji danych o bezrobociu z uwzględnieniem grup wiekowych, gdy w czerwcu poziom bezrobocia wśród młodych (16-24 lat) mieszkańców miast osiągnął rekordowe 21,3%. Wzrost PKB w drugim kwartale tego roku osiągnął jedynie 0,8%. Mimo apeli władz Chińczycy oszczędzają na konsumpcji, która miała stać się fundamentem wzrostu gospodarczego ChRL. Dla opinii publicznej przyzwyczajonej do wieści o sukcesach gospodarczych Chin takie informacje mogą być zaskoczeniem. Pod znakiem zapytania staje dziś zarówno dotychczasowa polityka wewnętrzna Chin, jak i ich relacje z wieloma krajami regionu Indo-Pacyfiku i państwami Zachodu, w tym z Polską.

Poprosiliśmy o komentarz profesora Bogdana Góralczyka, renomowanego

sinologa i eksperta w zakresie stosunków międzynarodowych z Uniwersytetu Warszawskiego oraz byłego ambasadora RP w Tajlandii.

Profesor podkreśla, że od 2016 roku Xi Jinping, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin i Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej doprowadził do zwrotu w polityce gospodarczej. Przywódca Chin rozpoczął implementację modelu gospodarczego, którego filarem jest koncepcja „podwójnego obiegu”, czyli oparcia wzrostu gospodarczego Chin na wzmacnianiu rynku wewnętrznego i konsumpcji. Działania te miały być jedynie wspierane przez sukcesy na rynkach zewnętrznych. Model napotkał jednak poważne trudności w postaci pandemii COVID-19 oraz długotrwałych lockdownów zgodnych z polityką „zero tolerancji dla Covid”, która przez wiele miesięcy w oficjalnych przekazach partyjnych była prezentowana jako odpowiedzialna alternatywa dla chaotycznej polityki naprzemiennego łagodzenia i zaostrzania obostrzeń pandemicznych na Zachodzie. W wyniku protestów i narastającego niezadowolenia w społeczeństwie władze Chin złożyły politykę pandemiczną w grudniu 2022 roku, jednak nie zdołało to

naprawić szkód wyrządzonych w gospodarce.

Wiele problemów chińskiej gospodarki jest zdaniem profesora Góralczyka spowodowanych przez charakterystykę przyjętego przez Komunistyczną Partię Chin modelu rozwoju, między innymi przez „powrót do centralizacji i promowania sektora publicznego, kosztem prywatnego (czyli ograniczanie rynku), polityczną ingerencję w rynek, a nade wszystko obawy społeczeństwa o przyszłość”, które zniechęcają obywateli Chin do wydawania pieniędzy na konsumpcję. Zdaniem wielu ekspertów wzmacnianie roli komórek partii rządzącej w ramach podmiotów gospodarczych i struktur państwowych może prowadzić do podejmowania mniej racjonalnych ekonomicznie decyzji. Przykładem tego zjawiska jest Bank Ludowy Chin, którego prezes, Pan Gonsheg, jest jednocześnie szefem partyjnych struktur w tej instytucji.

Problemy wśród deweloperów

Źródłem szczególnego niepokoju wśród ekonomistów jest chiński rynek nieruchomości, do niedawna koło zamachowe gospodarki generujące około 1/3 PKB. Drugi największy chiński deweloper, Grupa Evergrande, przeżywa trudności finansowe od 2021 roku, a w sierpniu tego roku złożyła w Nowym Jorku wniosek o ogłoszenie upadłości. Prezes Evergrande, Hui Ka Yan, został zatrzymany przez chińską policję na początku października, a handel akcjami spółki został wstrzymany.

Inni wiodący deweloperzy też mają problemy finansowe, które

przekładają się na kondycję banków z ośrodków prowincjonalnych w Chinach. Jak wskazuje Profesor Góralczyk – przez lata, a nawet dekady rynek deweloperski w Chinach rósł dosłownie jak na drożdżach, a podstawowy mechanizm polegał na tym, że władze lokalne tanio przejmowały grunty i oddawały je, z ogromnym zyskiem, deweloperom. W ten sposób napędzano koniunkturę, co władzom się podobało, ale zarazem napędzano ogromne długi (nawet według oficjalnych danych powyżej 300 proc. PKB)”. Symbolem problemów chińskiego rynku nieruchomości stały się wielkie osiedla, które pozostają niezamieszkane przez wiele lat po wybudowaniu, co zdaniem ekspertów jest przejawem groźnej dla gospodarki Chin bańki.

Czy kryzys Chin wpłynie na Polskę?

Spowolnienie gospodarcze może doprowadzić do wzrostu napięć w chińskiej polityce wewnętrznej, co zdaniem Profesora Góralczyka będzie wzmacniane przez czynniki polityczne i problemy strukturalne Chin, z narastającym kryzysem demograficznym na czele. Centralizacja władzy przez Xi Jinpinga, zwalczanie konkurencyjnych frakcji wewnątrz partii i wzmacnianie wpływu rządzących na prywatne podmioty gospodarcze może uczynić Chiny bardziej wrażliwymi na negatywne czynniki gospodarcze, w tym rosnącą presję ze strony państw zachodnich, jak i na niepokoje wewnętrzne.

Obecne problemy gospodarcze zapewne nie doprowadzą do zakończenia rywalizacji Chin z USA o prymat na arenie międzynarodowej. Niepokój ekspertów nadal budzą chińskie ambicje włączenia Tajwanu do swojego państwa i zdominowania kluczowego dla światowego handlu Morza Południowochińskiego. Chiny są jednak drugim mocarstwem świata i trudno będzie rozwiązać problemy globalne, w tym kwestię globalnego ocieplenia, bez współpracy z tym krajem.

Chiny wciąż są zainteresowane ekspansją gospodarczą w Europie, w tym w Polsce. Według Profesora Góralczyka – są ważnym dla Polski dostawcą towarów. Chcą nadal do Europy wchodzić i tu inwestować oraz sprzedawać. To bardziej od strony polskiej zależy, jak z Chinami nadal współpracować. Niewątpliwie wojna w Ukrainie relacjom tym nie sprzyja – Wyzwaniem dla naszego kraju w nadchodzących latach będzie wykształcenie relacji z Chinami, które będą uwzględniały zarówno rolę Chin w naszej wymianie handlowej, jak i interesy geopolityczne naszych sojuszników, w tym Stanów Zjednoczonych. Dopiero w nadchodzących miesiącach przekonamy się, czy gospodarka naszego kraju, dotknięta przewlekłym problemem inflacji, poradzi sobie ze skutkami chińskiego spowolnienia gospodarczego.

Oskar KMAK

Większości z nas lato od zawsze kojarzyło się ze słońcem, wypoczynkiem i dobrymi wspomnieniami. Niestety zaczęło się to zmieniać wraz z pogłębiającymi się zmianami klimatycznymi i globalnym ociepleniem. Narastające niebezpieczeństwo wynikające z upałów stało się zauważalne na całym świecie, choć szczególnie widoczne jest w ciepłych krajach. Nieuchronnie nadchodzą czasy, gdy wakacje, do tej pory kojarzone z relaksem, staną się najtrudniejszym okresem w roku.

Niegdyś wyjazd do ciepłych krajów w okresie letnim był oznaką dobrostanu i powodem do szczęścia. Obecnie jednak wakacje przestają być tak oczekiwanym czasem ze względu na związane z nimi niepokojące zdarzenia, których przyczyną jest globalne ocieplenie. Z uwagi na naturalne zwiększenie temperatury i ocieplenie powstałe za sprawą działalności człowieka, okres letni jest szczególnie niebezpieczny. Coraz częściej pojawiają się susze oraz pożary. W wyniku globalnego ocieplenia maleją również zasoby wody pitnej dla ludzi i zwierząt, która wykorzystywana jest także w hodowli, uprawie roślin czy w przemyśle. W dalszej perspektywie doprowadzi to do znaczącego pogorszenia jakości życia i wymarcia wielu gatunków – już teraz zagrożone są osobniki żyjące na Arktyce.

Nie tylko topnienie lodowców

Globalny wzrost temperatury prowadzi do topnienia pokrywy lodowej w tempie tak szybkim, że ta nie jest w stanie odbudować się zimą, niszcząc środowisko życia na biegunie północnym. Prowadzi to także do podniesienia poziomu wód morskich i oceanicznych, przez co zalewane są niższe położone tereny. Zagrożone są m.in. Wyspy Oceanu Spokojnego, takie jak Tuwal czy Kiribati. Zmniejsza to tereny możliwe do zamieszkania, czego konsekwencją będą przesiedlanie i miejscowe przeludnienia. Topnienie lodowców to także problem napływu wody słodkiej do słonej wody oceanicznej. Zaburza to przepływ prądów morskich, które mają wpływ na klimat. Najważniejszy europejski prąd morski, Golfstrom, zaczął zanikać, przez co klimat Europy Zachodniej się ochładza niezależnie od wzrostu temperatury na całej Ziemi.

Czy globalne ocieplenie zlikwiduje wakacje?



Skala pożaru na wyspie

Skalę problemu ukazuje to, że pożar widoczny był nawet na zdjęciach satelitarnych. Pomocy Grecji udzielały służby z kilku krajów, w tym z Izraela, Turcji i Jordanii. Grecki premier, Kiriakos Mitsotakis, przyznał, że choć w rejonie śródziemnomorskim pożary nie są nowością, mogły zyskać na intensywności w wyniku zmian klimatycznych.

Pomiary temperatur dowodzą, że problem zaczął się już lata temu i zwiększa się wraz z rozwojem przemysłu. Od XIX wieku średnia temperatura stale wzrasta w tempie 0,2 °C na 10 lat. Choć może się wydawać, że nie jest to odczuwalna różnica, jeśli klimat dalej będzie ocieplać się w tym tempie, niedługo będziemy mogli pożegnać się z chłodniejszymi porami roku. W konsekwencji oprócz klimatycznych zim, możemy stracić również wiele miejsc turystycznych. W wyniku zmian klimatycznych wzrasta ryzyko gwałtownych zjawisk pogodowych, takich jak rosnąca moc cyklonów tropikalnych, ulewnych opadów i susz. Najlepszym przykładem jest jeden z wielu greckich pożarów tego lata. Na Rodos 18 lipca wybuchł trwający ponad tydzień pożar szybko rozprzestrzeniany przez silne wiatry. Zmusił ponad 20 tys. turystów i mieszkańców do opuszczenia domów, jednocześnie niszcząc infrastrukturę miasta. Skalę problemu ukazuje to, że pożar widoczny był nawet na zdjęciach satelitarnych. Pomocy Grecji udzielały służby z kilku krajów, w tym z Izraela, Turcji i Jordanii. Grecki premier, Kiriakos Mitsotakis, przyznał, że choć w rejonie śródziemnomorskim pożary nie są nowością, mogły zyskać na intensywności w wyniku zmian klimatycznych. Nie lepiej sytuacja wy-

gląda na innych terenach, zwłaszcza wyspach, którym grozi całkowite zatonięcie, przykładem czego mogą być Malediwy, Fidżi czy Wyspy Salomona. Mocno narażone są także miasta sąsiadujące z oceanami czy morzami, między innymi Wenecja, Hongkong czy Nowy Jork. Będą one dotknięte ekstremalnymi powodziąmi niszczącymi miasta, co stanie się ogromnym zagrożeniem dla życia milionów ludzi.

Kryzys klimatyczny także w Polsce

Problem nie dotyczy jednak tylko zagranicy, ale też bezpośrednio nas. W wyniku zmian klimatycznych

prognozuje się, że w Polsce wzrośnie liczba gwałtownych opadów i nawałnic, zwiększy się prawdopodobieństwo powodzi i susz, podniesie się poziom morza, wystąpią problemy z bezpieczeństwem energetycznym i żywnościowym. To z kolei doprowadzić może do nadwyrężenia, czy wręcz upadku gospodarki, którą uratować mogłoby wykorzystanie odnawialnych źródeł energii – energii wiatrowej czy słonecznej – przez ograniczenie emisji szkodliwych dla atmosfery gazów.

Fakty pokazują, że w rzeczywistości za straty materialne i śmierć tysięcy osób odpowiadamy my sami, ignorując pogarszający się stan środowiska. By nie dopuścić do większej tragedii, konieczne jest ograniczenie emisji gazów cieplarnianych o połowę do 2030 roku i całkowite zaprzestanie ich produkcji do 2050 roku, co jest celem UE. W innym przypadku globalne ocieplenie doprowadzi do zmian, które bezpośrednio zagrożą życiu na Ziemi.

Moglibyśmy zapobiec tak rozległym konsekwencjom przez korzystanie z odnawialnych źródeł energii, takich jak elektrownie wiatrowe czy biomasę. Ogromne znaczenie mają również codzienne nawyki, takie jak gaszenie światła, używanie żarówek energooszczędnych, zaprzestanie palenia śmieci czy rezygnacja z podróży samochodami spalinowymi. Ponadto można wybierać firmy korzystające z ekologicznych rozwiązań i stosujących zeroemisyjną politykę produkcji. Drobne nawyki każdego z nas składają się na ogromną różnicę w dbaniu o planetę. Możemy poprawić jakość życia na Ziemi i zagwarantować sobie lepszą przyszłość, zaczynając od drobnych nawyków, a kończąc na zmianach w funkcjonowaniu infrastruktury przemysłowej. Pewne jest, że sytuacja z każdym dniem będzie się jedynie pogarszać, więc najlepszy moment, by wreszcie zacząć działać i zaważać o planetę, jest właśnie teraz.

Oliwia SYREK



Topniejące lodowce to zagrożenie dla całego świata

BRICS dodaje nowe literki

W dniach 22-24 sierpnia w południowoafrykańskim Johannesburgu odbył się 15. już szczyt międzyrodowej grupy BRICS. Spotkania odbywają się co roku, ale to wydaje się przełomowe. Po raz pierwszy od założenia organizacji do paktu zaproszono więcej niż jedno państwo. Według sygnatariuszy ma to być sposób na przeciwstawienie się Zachodowi oraz doprowadzenie do wzrostu znaczenia państw globalnego Południa i Wschodu.

Pierwsze forum BRICS odbyło się w 2009 roku. Nazwa pochodzi od pierwszych liter krajów członkowskich, a są to Brazylia, Rosja, Indie, Chiny oraz od 2011 roku Republika Południowej Afryki (South Africa). Za główne cele BRICS stawia sobie stworzenie nowego systemu walutowego, zwiększenie roli państw rozwijających się w światowych instytucjach oraz zreformowanie ONZ.

Głównym polem współpracy w ramach BRICS są sprawy ekonomiczne. Każde państwo ma inaczej zbudowaną gospodarkę, która ma wzmacniać samą grupę. W ramach paktu istnieje także frakcja RIC stanowiąca największy potencjał militarny całej grupy.

Pierwsze takie rozszerzenie

Na szczycie w Johannesburgu doszło do podjęcia bezprecedensowej jak dotąd decyzji. Do organizacji zaproszono sześć nowych państw z czterdziestu, które ubiegało się o dołączenie do grupy. Są to Arabia Saudyjska, Argentyna, Egipt, Etiopia, Iran oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie. Co oznacza włączenie tych krajów do organizacji? Przede wszystkim BRICS będzie w stanie bardzo mocno rozszerzyć swoje wpływy, jeśli chodzi o rynek ropy naftowej. Zarówno Arabia Saudyjska, jak i Zjednoczone Emiraty Arabskie to potentaci w wydobyciu tego surowca. Możliwe jest więc, że kraje członkowskie zyskają nowe możliwości jego dystrybucji. Co więcej, Saudyjczycy są najważniejszym sojusznikiem USA w regionie Bliskiego Wschodu. Włączenie ich do BRICS z pewnością bardzo cieszy Chiny, które od wielu lat starają się przełamać amerykańską dominację na tym terytorium. Znaczącą kwestią jest również dołączenie do grupy Iranu, który od lat jest ograniczany przez amerykańskie i ONZ-owskie regulacje, związane głównie z użytkowaniem i produkcją bomby atomowej. Dla islamskiej republiki rodzi się więc szansa na uzyskanie większej nieza-



Tegoroczny szczyt BRICS odbył się w Johannesburgu

leżności przy pomocy państw Globalnego Południa.

Rozszerzenie paktu nie przeszło jednak bez poważnych zgrzytów. Do dodania nowych krajów dążyła przede wszystkim Rosja, która potrzebuje sojuszników w wojnie z Ukrainą oraz szuka możliwości omijania sankcji. Chiny liczyły na wsparcie w rywalizacji z USA. Bardziej powściągliwą opinię wyrażała natomiast Brazylia, która obawia się utraty swoich wpływów w regionie i poza nim. Najprzychylniej patrzyła w kierunku swojego sąsiada – Argentyny. Również Indie domagały się skonkretyzowania zasad i dojścia do konsensusu, aby dokonać rozszerzenia BRICS.

Pekin na czele

Niewątpliwie na poszerzeniu sojuszu najbardziej skorzystało Państwo Środka. Już teraz Chiny są graczem w wielu działaniach na terenie Globalnego Południa. Zaangażowanie w konflikty w Jemenie i Sudanie oraz gotowość do mediacji pomiędzy Rosją a Ukrainą, to tylko niektóre z inicjatyw tego azjatyckiego państwa. Kolejnym punktem zaczepienia dla Chin może się okazać Etiopia, która w ostatnim czasie prowadziła wojnę domową w regionie Tigray. Jej starty finansowe może pokryć właśnie Pekin we współpracy z Dubajem, który był nawet bezpośrednio zaangażowany w działania zbrojne. Etiopia ponadto negocjuje pakiet pożyczkowy z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a wsparcie ze strony BRICS może polepszyć jej notowania. Oprócz spotkań ze stałymi partnerami, przewodniczący

Chińskiej Republiki Ludowej spotkał się w Johannesburgu z prezydentem Kuby, Miguelem Diaz-Canelem. To kolejne uderzenie w administrację w Waszyngtonie, która wciąż przegrywa w walce o polepszenie relacji z Hawaną. Chiny za to obiecują Kubańczykom wsparcie w batalii z „zagraniczną ingerencją godzącą w suwerenność kraju”.

Utrata zaufania do Zachodu

Ekspertki zwracają uwagę, że poszerzenie BRICS jest rezultatem stopniowej utraty zaufania państw Globalnego Południa do krajów Zachodu. Szef Europejskiego Banku Inwestycyjnego, Werner Hoyer, ostrzega, że jeśli USA oraz Unia Europejska nie zdywersyfikują swoich działań dotyczących wsparcia biedniejszych krajów, może to doprowadzić do odpyływania kolejnych państw „Południa” do takich organizacji jak BRICS albo do załamania dolara jako waluty przeważającej w światowym handlu. Rozmawiano już o tym na ostatnim szczycie. Władimir Putin wskazywał, że „proces dedolaryzacji już trwa”, a prezydent RPA, Cyril Ramaphosa, mówił, że „muszą odbyć się dyskusje na ten temat, szczególnie wśród naszych ministrów finansów”. Zaniepokojenie działaniami BRICS wyraził także sekretarz generalny ONZ, António Guterres:

– Dzisiejsze globalne struktury zarządzania są odzwierciedleniem świata wczorajszego. Powstały w dużej mierze po drugiej wojnie światowej, kiedy wieloma krajami afrykańskimi nadal rządziły potęgi kolonialne. Te kraje nie były dopuszczane

do stołu rozmów – komentował na forum ONZ Portugalczyk. Ponadto na szczycie pojawił się też temat jednej wspólnej waluty dla wszystkich członków BRICS, pomimo że nie figurował on w oficjalnej rozpisce obrad. Koncepcję tę szczególnie forsował prezydent Brazylii, Lula da Silva i pomimo początkowej niechęci partnerów udało mu się coś w tej sprawie zdziałać – trochę ponad dwa tygodnie po szczycie w RPA, dyrektor Departamentu Współpracy Gospodarczej MSZ Rosji mówił w TV BRICS, cytowany przez agencję TASS, że jest pewien, iż finalnie wspólna waluta stanie się rzeczywistością, choć droga do tego celu „nie jest ani szybka, ani łatwa”. Kwestią sporną wydaje się też to, która waluta miałaby zostać tą dominującą. Rubel, juan czy rupia. Wszystkie państwa mają swoje argumenty w tej sprawie.

Prawdziwa potęga liczb

Jeśli spojrzeć na statystyki poszerzonej grupy BRICS, to prezentuje się to bardzo imponująco. W grupie znajduje się obecnie 46% ludności świata, 29% lokalnego PKB, 43% produkcji ropy naftowej i 25% globalnego eksportu.

– Współpracujemy ze sobą, by napisać nowy rozdział solidarności i współdziałania na rzecz rozwoju pomiędzy rynkami wschodzącymi i krajami rozwijającymi się – mówił na szczycie w Johannesburgu prezydent Chin, Xi Jinping. Należy zauważyć, jak potężne są gospodarki poszczególnych państw w ramach BRICS. Chiny to pierwsza gospodarka świata, biorąc pod uwagę siłę

nabywczą, Indie powoli zbliżają się do czwartego miejsca. Rosja jest największym powierzchniowo krajem świata, Brazylia największą gospodarką Ameryki Łacińskiej, a RPA najbogatszym państwem Czarnego Łądu.

BRICS a wojna w Ukrainie

Na szczycie w Johannesburgu nie mogło zabraknąć tematu wojny w Ukrainie. Co ciekawe Władimir Putin uczestniczył w spotkaniu zdalnie, ponieważ RPA respektuje wyrok Międzynarodowego Trybunału Karnego, który parę miesięcy temu wydał za prezydentem Rosji list gończy za wywożenie ukraińskich dzieci do Rosji. Putin jak to ma w zwyczaju oskarżał o konflikt w Ukrainie Zachód, mówiąc o bezprawnym zamachu stanu: – Najpierw z pomocą krajów Zachodu, niekonstytucyjny zamach stanu został przeprowadzony w tym kraju [w Ukrainie], a potem rozpętano wojnę przeciw ludziom, którzy nie zgadzali się z tym zamachem – stwierdził prezydent Rosji. Przedstawiciele krajów BRICS wyrazili jedynie swoje poparcie dla działań mających na celu jak najszybsze zakończenie konfliktu za naszą wschodnią granicą.

Poszerzenie organizacji takiej jak BRICS pokazuje, że w najbliższych latach będziemy mieli do czynienia ze zwiększoną polaryzacją między Zachodem a krajami Wschodu i Południa. BRICS powinien mieć duży wpływ na zasady panujące na naszym globie. Czas pokaże, kto mocniej przeciągnie linę dominacji na swoją stronę.

Filip STACHOWICZ

Zamiast sukcesu Energiewende za Odrą obserwujemy wzrost cen prądu oraz przymusowy powrót do spalania węgla. Główny winowajca? Zdaniem niektórych niemieckich polityków, odejście od energii jądrowej. W kwietniu nasi zachodni sąsiedzi dołączyli do grona zaledwie kilku krajów, które całkowicie zrezygnowały z tego źródła zasilania. Po kilku miesiącach bez atomu poważnie rozważają jego nieunikniony powrót.

Niemiecka awersja do energii jądrowej ma długą historię. Już w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy RFN było jednym z potentatów tej technologii, sprzeciw wobec budowy nowych zakładów prowadził do gwałtownych protestów, chociażby w 1975 roku w miejscowości Wyhl, w landzie Badenia-Wirtembergia). Przyczynił się też do wzrostu popularności partii Zielonych, założonej w 1980 roku. Przełomem w podejściu Niemiec do energetyki jądrowej stały się dwie największe katastrofy w jej historii. Awaria w Czarnobylu (1986 rok) stanowiła uzasadnienie dla natychmiastowego wyłączenia instalacji jądrowych na obszarze byłych Niemiec Wschodnich (po zjednoczeniu w 1990 roku), zaś katastrofa w Fukushima (2011 rok), skłoniła rząd ówczesnej kanclerz federalnej, Angeli Merkel, do przyspieszenia planowanego przez jej poprzednika odejścia od atomu. Decyzja kanclerz była potem krytykowana jako populistyczna, podyktowana strachem wyborców a nie rzeczywistą kondycją starzejących się, niemieckich reaktorów, natomiast w momencie jej podjęcia, energia jądrowa była faktycznie w odwrocie. Sytuacja zaczęła się zmieniać, wraz z narastającymi kłopotami z wdrożeniem wspomnianej Energiewende, czyli „zielonej transformacji” oraz w obliczu kryzysu energetyczno-paliwowego, spowodowanego rosyjską inwazją na Ukrainę.

Miało być zielono i tanio

Wyłączenie ostatnich działających reaktorów w Niemczech nastąpiło po licznych opóźnieniach. Czym były spowodowane? Przede wszystkim trudnościami w szybkim zastąpieniu tak wydajnego źródła energii przez instalacje generujące ją z OZE (odnawialne źródła energii). Prawdziwym wyzwaniem dla Niemców okazała się też konieczna modernizacja sieci przesyłowej, której towarzyszyły

Atomowy dylemat Niemiec



Lider niemieckiej opozycji zapowiada powrót atomu

„Natychmiast przywrócimy atom”. Tak przedstawia swoje najważniejsze polityczne plany obecny lider niemieckiej opozycji – przewodniczący partii CDU – Friedrich Merz.

galopujące koszty eksploatacji, przekładające się bezpośrednio na ponad dwukrotny wzrost cen energii elektrycznej w Niemczech, w ciągu ostatnich dwóch dekad. Pomiędzy wzrostu udziału OZE w ogólnym miksie energetycznym RFN, kraj ten wciąż należy do największych trucicieli atmosfery. Zgodnie z danymi Komisji Europejskiej z 2021 roku, Niemcy odpowiadali za emisję blisko 666 milionów ton dwutlenku węgla, co stanowiło wzrost względem wartości z roku poprzedniego. Co więcej, zamknięcie ostatnich reaktorów jądrowych prawdopodobnie jeszcze bardziej zwiększy

emisję: zgodnie z informacjami podawanymi przez serwis „Energetyka24”, rząd kanclerza Olafa Scholza planuje wzmocnienie działania kilku zakładów opalanych węglem brunatnym, tak aby pokryć rosnące zapotrzebowanie na prąd, z którego zaspokojeniem nie radzi sobie niemieckie OZE. Miało być taniej i bardziej ekologicznie? Niestety nie jest. Atom został w Niemczech przekreślony jako „nierentowny” i „ryzykowny”, lecz w rzeczywistości jego wyłączenie przyczyniło się do pogłębienia finansowych i środowiskowych problemów naszych zachodnich sąsiadów. Tak mocno

odczuwalne skutki zrezygnowania z energii jądrowej sprawiły, że za Odrą coraz silniejsze są głosy kwestionujące zasadność polityki „Energiewende”, lub wręcz domagające się jak najszybszego włączenia nieaktywnych reaktorów.

Powrót do łask?

„Natychmiast przywrócimy atom”. Tak przedstawia swoje najważniejsze polityczne plany obecny lider niemieckiej opozycji – przewodniczący partii CDU – Friedrich Merz. Wtórzy mu szef jej bawarskiej odpowiedniczki CSU, jednocześnie premier tego największego niemieckiego landu, Markus Söder, który ogłosił prawdopodobną konieczność powrotu Bawarii do tego źródła energii w 2025 roku. Zgodnie z opracowanymi przez Radiant Energy Group badaniami, w przypadku aż ośmiu niemieckich reaktó-

rów, możliwe z technicznego punktu widzenia byłoby przywrócenie generowania prądu. Proces ten mógłby być przeprowadzony w zaledwie dziewięć miesięcy (im szybciej zostałby rozpoczęty, tym krócej potrwa), zaś powrót do atomu pozwoliłby zmniejszyć emisję dwutlenku węgla generowane przez sektor energetyczny do 80 milionów ton rocznie. Poparcie polityków niemieckiej opozycji dla atomu podziela znaczna część obywateli RFN: Portal „Clean Energy Wire” cytuje badanie, zgodnie z którym aż 2/3 Niemców nie sprzeciwia się eksploatacji energii jądrowej. Największy niemiecki tytuł, „Bild” opublikował z kolei sondaż, który pokazuje, że aż 52% ankietowanych uważa decyzję o wyłączeniu reaktorów za błąd. Jednocześnie, ponad 80% badanych Niemców, popiera politykę transformacji energetycznej. Od wielu lat zagadnienia związane z kryzysem klimatycznym należą do najważniejszych problemów w zdaniu niemieckiej opinii publicznej.

Energia jądrowa wraca do łask i cieszy się coraz silniejszym poparciem obywateli w krajach takich jak Polska, która planuje budowę pierwszych reaktorów. Wzrost cen prądu i paliw wraz z dotychczasową nieefektywnością transformacji energetycznych może skłonić również Niemców do zrewidowania swojej polityki. Jak dotąd, rząd kanclerza Scholza idzie w zaparte, jego przedstawiciele krytykowali ostatnio, między innymi, Francję, będącą europejskim potentatem energii jądrowej. Co ciekawe, odkąd Niemcy wyłączyły atom, coraz częściej muszą importować energię powstałą w wyniku rozszczepienia Uranu zza swojej zachodniej granicy.



Według ekspertów do ponownego włączenia nadaje się osiem niemieckich reaktorów

Kacper ZIELENIAK

Halloween jest najważniejszym świętem w kalendarzu miłośników celuloidowej grozy. Tego dnia wszyscy kinomani jak jeden mąż biegają do kin w poszukiwaniu dreszczyku. Multipleksy kuszą śmiałków całonocnymi maratonami horrorów, lecz starego wróbla na plewy nie nabierzesz; autorzy generycznych straszaków muszą się pogodzić z tym, że walka o tytuł najlepszego halloweenowego filmu zakończyła się już trzydzieści lat temu. „Miasteczko Halloween” nie ma sobie równych, a jego geneza jest równie barwna, co ono samo.

Kto by pomyślał, że sztandarowy przedstawiciel kina z dreszczykiem okaże się filmem skrojonym pod niejedno święto. „Miasteczko Halloween” równie dobrze ogląda się podczas jesiennej sloty, co w przerwach między karpim i barszczem z uszkami. Przygody Jacka Szkieletona, prominenta najprzeróżniejszego z miast odkrywającego uroki Gwiazdki, od lat stanowią film pierwszego wyboru na czas Wszystkich Świętych, Wigilii, jak i Bożego Narodzenia. Domorośli genealogowie wciąż zachodzą w głowę, czy animowane opus magnum Henry’ego Selicka jest filmem bardziej halloweenowym czy zdecydowanie gwiazdkowym. O trudnej do sprecyzowania gatunkowej proveniencji niech świadczą daty premiery. W USA film trafił do kin 29 października 1993, tymczasem w Polsce ponad rok później – 16 grudnia 1994. O ile Amerykanie na seans udali się w atmosferze zbierania cukierków i robienia psikusów, o tyle Polacy bilet na „Miasteczko Halloween” mogli znaleźć pod choinką.

Wiadomo nie od dziś, że filmy bożonarodzeniowe potrafią być nieoczywiste. Wszak makabra nader dobrze prezentuje się w towarzystwie gwiazdkowego blichtru. „Krampus”, „Czarne święta” czy „Cicha noc, śmierci noc” są dowodem na to, że na każdą nienatchnioną produkcję Hallmark Channel przypada mrozący krew w żyłach mikołajowy horror. „Miasteczko Halloween” łączy tradycję klasycznego kina wigilijnego z mroczną wyobraźnią Tima Burtona, stając się doskonałym przykładem dreszczowca dla całej rodziny. Trudno się owemu połączeniu dziwić, przecież na przestrzeni dekad animacja poklatkowa równie często służyła opowieściom grozy, co uro-

Białe Halloween



Inspiracją dla postaci Jacka Szkieletona był Danny Elfman

„Autorzy kina kombinacyjnego i trikowego często korzystali z metody poklatkowej. To przy jej pomocy filmowi magicy pokroju Obiego O’Briena ożywiali baśniowe stworzenia, prehistoryczne bestie i legendarne monstra.

kliwym przygodom Rudolfa Czerwononosego.

Duchy i elfy

Mimo że animację utożsamiamy powszechnie z kreskówkami lub prężnie rozwijającą się technologią CGI (obrazy generowane cyfrowo), narodziny filmu animowanego nie

mają z nimi nic wspólnego. Początki kina są źródłem wielu nieścisłości i zażartych sporów badaczy. Prawdopodobnie najstarszą animacją w historii jest „Apel zapalek” Arthura Melbourne’a Coopera z 1899 – poklatkowy eksperyment powstały na zamówienie londyńskiej spółki Bryant and May.

W propagandowej miniaturze brytyjski fotograf wprowadził w ruch garść zapalek, dając początek nie tylko technice stop-motion, lecz animacji ogółem.

Autorzy kina kombinacyjnego i trikowego często korzystali z metody poklatkowej. To przy jej pomocy filmowi magicy pokroju Obiego O’Briena ożywiali baśniowe stworzenia, prehistoryczne bestie i legendarne monstra. Na długo zanim kinomani wpadli w zachwyt nad kunsztem „Zaginionego świata”, szlaki dla twórców animacji poklatkowej przetrwał James Stuart Blackton. W 1907 roku współzałożyciel

amerykańskiej wytwórni Vitagraph stanął za kamerą „Hotelu, w którym straszy”. Ten krótkometrażowy horror porwał publiczność, przyprowadzając pierwszych widzów o ciarki. W filmie wykorzystano kilkudziesięciosieczkundową sekwencję animacji obiektowej – metody stop-motion opierającej się na ruchu scenografii. Nawet jeśli dziś przyglądanie się ożywionej zastawie nie budzi powszechnego przerażenia, wciąż potrafi wywołać podskórny niepokój.

W okresie formatywnym X Muzy animacja poklatkowa prężnie się rozwijała, stąd twórcy kina trikowego prześcigali się w pomysłach na wzbogacenie filmowego obrazu. Zapalaki na linkach odeszły do lamusa, w ruch natomiast wprowadzono cut-outy (tekturowe wycinanki), plastelinę oraz kukiełki. Z użyciem tych ostatnich nakręcono w 1951 roku krótkometrażowy „Trzech małych skrzatów”. Historyjka o pracujących pomocnikach Świętego Mikołaja skradła serca widzów. Okazało się, że klasyczny wdźwięk stop-motion sprawdza się doskonale nie tylko w horrorach, lecz także w gwiazdkowych opowieściach. Przez następne dekady animatorzy ustawicznie pracowali nad kolejnymi świątecznymi przebojami: śladem „Hardrocka, Coco i Joego” podążyli m.in. Artur Rankin Jr. i Jules Bass – producenci „Rudolph the Red-Nosed Reindeer”, najpopularniejszego filmu świątecznego w USA.

„Miasteczko Halloween” czerpie garściami z dziedzictwa animacji poklatkowej, będąc wypadkową jej gatunkowej historii. Opowieść o Jacku Szkieletonie i jego przerażającej świcie łączy potworność i grozę Blacktona z cukierkową estetyką studia Rankin/Bass. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że m.in. dzięki temu po trzech dekadach wciąż śledzi się ją z niesłabnącym podziwem.

Zwichrowany umysł

Pomysł „Miasteczka Halloween” zrodził się w głowie ambasadora gotyckiego fantasy – Tima Burtona. Nieopierzony filmowiec pierwsze kroki w rzemiośle stawiał w przepastnym studiu Walt Disney Productions. Pracując jako artysta conceptualny zaskarbił sobie sympatię przełożonych – Julie Hickson i Toma Wilhite’a. Groteskowy styl Burtona w niczym nie przypominał pogodnych disneyowskich opowiadań. Ówczesny kierownik ds. rozwoju kreatywnego doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział także, że ten zafascynowany dreszczowcami oryginał zasługuje na szansę. Tak powstał „Vincent” – krótkometrażowa animacja poklatkowa o chłopcu zafiksowanym na punkcie Vincenta Price’a, Edgara Allana Poe i śmierci. Upiorny film w dniu premiery mógłby posłużyć Burtonowi za efektowny showreel (portfolio graficzne), tymczasem z perspektywy lat dostrzec można w nim prefigurację takich tytułów jak



Film Burtona łączy w sobie upiorność Halloween i radość Bożego Narodzenia

„Frankenweenie”, „Edward Nożycoręki” czy „Miasteczko Halloween”.

Odważne poczynania Burtona zwróciły uwagę konkurencji. Po epizodzie disneyowskim młody filmowiec zatrudniony został w Warner Bros. Stał wówczas za kamerą „Wielkiej przygody Pee Wee Hermana” – pełnometrażowej komedii firmowanej nazwiskiem Paula Reubensa, jednego z najpopularniejszych komików lat 80. Nikt się nie spodziewał, że wielki miłośnik czarnego romantyzmu zadebiutuje na planie lekkiego filmu familijnego. Warto jednak podkreślić, że to praca nad perypetiami Pee Wee Hermana uchyliła Burtonowi drzwi do hollywoodzkiego parnasu. W następnych latach osobliwy reżyser nakręcił „Sok z żuka”, „Edwarda Nożycorękiego” oraz „Batmana”. Disneyowski wychowanek z miejsca stał się jednym z najbardziej wziętych filmowców. Kiedy jego twórczość trafiła pod strzechy, przypomniał sobie o swoim dawnym projekcie, nad którym w pocie czoła pracował podczas praktyki w studiu Walta Disneya. Kiedy reżyser „Charliego i fabryki czekolady” zwrócił się do dawnego pracodawcy z pytaniem o odsprzedaż praw do historii o Jacku Szkieletonie, włodarze wytwórni dostrzegli, że chwycili Pana Boga za nogi. Pełni entuzjazmu zaproponowali wyprodukowanie jego filmu. Burton się zgodził. „Miasteczko Halloween” stało się faktem.

Trupa Jacka Szkieletona

Mając w dorobku superprzeboj, który zarobił niebotyczne czterysta milionów dolarów, Burton mógł rozdawać karty. Filmowiec przystał na realizację „Miasteczka Halloween” dla Disneya, lecz postawił jeden warunek – studio miało mu zagwarantować pełną kontrolę nad projektem. Hegemon branży bez wahania dał mu osiemnaście milionów i wolną rękę. Ponury reżyser nie mógł doczekać się rozpoczęcia zdjęć, a na myśl o Jacku, Sally i reszcie koszmarnych postaci wprost promieniał. Szkopuł w tym, że w tamtym czasie zaangażowany był w produkcję „Powrotu Batmana”. Jako że Burton nie posiadał nigdy daru bilokacji, postanowił przekazać projekt w ręce zaufanych współpracowników. Konsultantem wizualnym został Rick Heinrichs, kumpel Burtona z czasów pracy dla Disneya. Na specu od animacji poklatkowej spoczywał ciężar dopilnowania, aby ekipa filmowa ściśle trzymała się Burtonowskiej wizji. Wyśnione przez pokręconego filmowca „Miasteczko Halloween” skąpane było w chłodnym księżycowym świetle, na jego architekturę składały się zwichrowane, zdeformowane i zaburzone budynki przywodzące na myśl „Gabinet doktora Caligari”, a zamieszkiwane było przez upiory, żywe trupy, wampiry, wiedźmy – słowem, każdą możliwą szkaradę.



Postać Sally wzorowana była na ówczesnej dziewczynie Elfmana - Caroline Thompson

„Burton i spółka na należny im poklask musieli czekać ponad dekadę. Wówczas okazało się, że mieszkańcy najprzeróżniejszego z miast wcale nie zostali zapomniani. Wręcz przeciwnie, fani na całym świecie oszaleli na punkcie halloweenowo-gwiazdkowego musicalu, gdy ten trafił na rynek home video.

Wyjątkowy projekt wymagał wyjątkowego podejścia. Burton zgromadził wokół siebie podobnych mu artystów-outsiderów. Do przygotowania ścieżki dźwiękowej zaangażował Danny’ego Elfmana, swojego stałego współpracownika. Niedysyjszy wokalista nowofalowego zespołu Oingo Boingo skom-

ponował muzykę, a także udzielił głosu Jackowi Szkieletonowi w scenach musicalowych. Za scenariusz odpowiedzialna była ówczesna partnerka muzyka – Caroline Thompson. Scenarzystka „Edwarda Nożycorękiego” dołączyła do ekipy „Miasteczka Halloween” psim śwędem, gdy okazało się, że Michael

McDowell zamiast poświęcać się pisaniu, zafrapowany był kokainą. Stanowisko reżysera objął natomiast Henry Selick, skromny autor klipów dla MTV, którego obecnie nie bez kozery nazywa się geniuszem animacji poklatkowej. Z takim zespołem Burton mógł przenosić góry.

Lepiej późno niż później

„Po części awangardowy film artystyczny, po części zabawna, acz przerażająca baśń, to zachwycająco upiorny musical świąteczny, który na przestrzeni zaledwie siedemdziesięciu pięciu minut wykazuje więcej pomysowości, niż niektóre wy-

twórnie są w stanie wykrzesać z siebie przez calutętki rok”, stwierdził w recenzji dla „Los Angeles Times” Kenneth Turan. „Miasteczko Halloween” osiągnęło artystyczny sukces, lecz na powszechne uznanie musiało poczekać kilkanaście lat. Dziś nie sposób myśleć o nim inaczej niż przez pryzmat kanonu kina świątecznego i kamieni milowych animacji poklatkowej. W dniu premiery jednak niewiele wskazywało na to, że Jack Szkieleton stanie się ikoną popkultury. Pieczołowicie zrealizowany film, będący efektem niezłomnego uporu i dwóch lat pracy rzeszy animatorów, grany był w kinach przez zaledwie kilka tygodni. „Miasteczko Halloween” zarobiło pięćdziesiąt milionów dolarów, czyli dwukrotność budżetu. O ile nie był to najgorszy możliwy wynik finansowy, o tyle w porównaniu z dwustu pięćdziesięcioma milionami „Pięknej i Bestii” wypadł dość blado.

Burton i spółka na należny im poklask musieli czekać ponad dekadę. Wówczas okazało się, że mieszkańcy najprzeróżniejszego z miast wcale nie zostali zapomniani. Wręcz przeciwnie, fani na całym świecie oszaleli na punkcie halloweenowo-gwiazdkowego musicalu, gdy ten trafił na rynek home video. Popularność „Miasteczka Halloween” była na tyle duża, że wypożyczalnie VHS i DVD wprowadziły olbrzymie kary za nieterminowy zwrot kopii. Włodarze Disneya zauważyli, że ich felelna kura raptem zaczęła znosić złote jajka. Film wrócił do obiegu kinowego, a jego wielbiciele zostali zasypani merchandisem. Zrodzona z pasji grupy outsiderów animacja skradła serca kinomanów. Dobrze wiedzieć, że w tej opowieści nie tylko Jack Szkieleton doczekał się happy endu.

Remigiusz RÓŻAŃSKI



„Miasteczko Halloween” jest efektem 2,5 lat żmudnej pracy animatorów

Stworzenie udanego dreszczowca wydaje się zadaniem niemożliwym do zrealizowania. Każdy potencjalny odbiorca dzieła grozy ma indywidualne podejście do tematyki horroru, a wrażliwość na wszelakie zabiegi mające na celu wywołanie strachu u odbiorcy jest równie subiektywna. Oprócz trzymającej w napięciu atmosfery czy paru mniej lub bardziej udanych jumpscare'ów, dobry horror wymaga również zaangażowania emocjonalnego odbiorcy. W tym przypadku historie z młodości wydają się idealną drogą na skróty.

Nie sposób nie zauważyć panującego od dłuższego czasu trendu przedstawiania dobrze nam znanych opowieści w nieco bardziej „mrocznym” wydaniu. Bohaterowie utożsamiani z niewinnością, za sprawą hollywoodzkiej różdżki stają się postaciami pełnymi tajemnic, ich bajkowy świat nabiera mrocznego kontekstu, a my, zafascynowani powrotem do naszego dzieciństwa, jesteśmy karmieni produkcjami wątpliwej jakości. Jednakże horror i dark fantasy nie kończy się wyłącznie na kinie czy książkach. Ciekawe propozycje możemy również znaleźć za pośrednictwem kontrolera. To w grze jesteśmy najbardziej wrażliwi na grozę, ponieważ nie przyjmujemy jedynie ról obserwatorów, kibiców czy po prostu czytelników. Mamy realny wpływ na fabułę, a niekiedy nawiązujemy na tyle silną więź z postacią, że poniekąd stajemy się jej częścią. Niezwykle fascynująca wydaje się również podróż po świecie grozy jako postać znana z naszego dzieciństwa. Możemy na własnej skórze doświadczyć niebezpieczeństw czyhających na nas każdym rogu i być może na nowo zakochać się w opowieściach, które poznaliśmy dawno, dawno temu.

W złej króliczej norze

Z „Alicją z Krainy Czarów” poznałem się za sprawą animowanej produkcji Disneya, następnie zachwyciła mnie pełna magii propozycja Tima Burtona, a na końcu spotkałem się z bohaterką na kartkach książki Lewisa Carrolla. Kraina Czarów w każdym wydaniu absolutnie mnie oczarowała, do tego stopnia, że sam niejednokrotnie marzyłem kiedyś o wizycie w świecie niczym ze snów. I udało się! No, nie do końca – wpadłem przez złą



Baśniowa oprawa to tylko fasada dla prawdziwego koszmaru

”Gry z gatunku grozy różnią się znacznie od swoich książkowych i filmowych odpowiedników. Twórcy bawią się nie tylko muzyką, obrazem czy fabułą, ale również mechaniką rozgrywki.

króliczą norę do przerażającego świata „American McGee’s Alice”.

Wydana w 2000 roku piekielna reinterpretacja Alicji zachwyciła mnie od pierwszego wejrzenia i pokazała mi oraz innym graczom na całym świecie, jak powinien wyglądać prawdziwy horror z krwi i kości. Choć growa propozycja „Alicji w Krainie Czarów” czerpie garściami z pierwowzoru, to i tak historia bohaterki znacznie różni się od

tej znanej z książki i filmów. Pewnej nocy Alicja budzi się we własnym domu ogarniętym przez pożar – choć dziewczynie udaje się uciec, w wyniku nieszczęśliwego wypadku giną jej rodzice. Bohaterka trafia do szpitala psychiatrycznego, gdzie, niestety, kilkuletnie leczenie nie przynosi żadnych efektów. Pewnej nocy, za sprawą pluszowego królika, Alicja trafia do zniekształconej Krainy Czarów.



Czasem lepiej nie wiedzieć, co czai się w ciemności

Od tego momentu los Alicji jest w naszych rękach. Sami musimy zmierzyć się z traumami Alicji, zajrzeć w głąb zdevastowanego przez chorobę psychiczną umysłu i osobiście zawalczyć ze wszystkimi potwornościami, przed jakimi postawiona jest bohaterka. Pomysł na reinterpretację dzieła Carrolla wydaje się w tym przypadku niezwykle intrygujący. Nie jest to kolejny slasher polegający na zwabieniu odbiorcy tanim odwołaniem do wspomnień z dzieciństwa. Produkcja traktuje gracza z należytym szacunkiem, nie idzie na łatwiznę i szokuje ogromem pracy włożonym w produkcję. Tytuł w 2011 roku czekał się również kontynuacji w postaci „Alice: Madness Returns”, dzięki któremu horrorowe wydanie Alicji na zawsze zapisało się na kartach popkulturowej historii.

Horror nie z drewna

Gry z gatunku grozy różnią się znacznie od swoich książkowych i filmowych odpowiedników. Twórcy bawią się nie tylko muzyką, obrazem czy fabułą, ale również mechaniką rozgrywki. Grę można zamknąć w odpowiednich ramach, dzięki którym odbiorca wchodzi w interakcję ze światem wewnątrz produkcji. Osobiście możemy reagować na sytuację, rozmawiać z napotkanymi postaciami, bardzo często samodzielnie podejmować decyzje i sami ponosić konsekwencje naszych działań.

Wydane w tym roku „Lies of P” jest luźną interpretacją prozy Carla Collodiego. W grze wcielamy się w mechanicznego chłopca znanego

jako Pinokio i wyruszamy w swoją własną podróż, podczas której napotkamy różnego rodzaju potworności. Tytuł od samego początku zachwyca rozmachem, z jakim gra została wykonana. Wszystko, co otacza nas w tej produkcji, począwszy od projektów lokacji, poprzez granie światłem, na aktorstwie i muzyce kończąc, wywołuje wrażenie świata, na który mamy realny wpływ. No właśnie, w końcu wcielając się w postać Pinokia, mamy wpływ zarówno na samego bohatera, jak i również na otaczające go środowisko za pośrednictwem blefu. Mechanika kłamstw w „Lies of P” pozwala nam kreować przyszłość głównego bohatera, co może zaważyć na odbiorze samego dzieła.

Oddając nam do dyspozycji narzędzie w postaci podejmowania mniejszych lub większych decyzji, twórcy prowokują nas do zagłębienia się w wykreowany przez nich świat. Zachęcają do stania się integralną częścią całości, zmuszają do ponoszenia konsekwencji własnych działań, dzięki czemu to my zaczynamy odgrywać pierwsze skrzypce. Jakościowo opowiedziane historie zostają z nami na dłużej, są zobowiązujące i w pewien sposób wprowadzają nas w trans, w którym mamy okazję zatracić się na długie godziny. Zabawa z tak trudnym gatunkiem, jakim jest horror, bardzo często kończy się niepowodzeniem. Jednakże jest to też gatunek niezwykle satysfakcjonujący i odpowiednio przemyślany, może być po prostu wspaniałym sposobem na halloweenową rozrywkę.

Piotr RYDZ

Od lat twórcy z powodzeniem wykorzystują archetyp moralnie „szarego” mężczyzny. Utrwalenie takiego wizerunku w kulturze nie byłoby możliwe bez udziału fanów, którzy wspierają dane dzieło. Istotną rolę w usprawiedliwianiu złych zachowań postaci pełni twórczość odbiorców, umożliwiającą swobodną reinterpretację kanonu.

Próbom uzyskania jednoznacznej definicji antybohatera towarzyszyły i towarzyszą nieścisłości, ponieważ jego działania mogą mieć różne źródła: bunt przeciwko normom społecznym, skomplikowana przeszłość czy problemy psychiczne. Szeroka konwencja ułatwia zastosowanie jej do wielu postaci, nawet takich, które w panującym dyskursie nie uchodzą za złoczyńców. Bernadetta Darska w swojej książce „To nas pociąga. O serialowych antybohaterach” zauważa, że decydującą rolę w percepcji moralności odgrywa nasza subiektywna ocena. W tej perspektywie charakter antybohatera pozostaje rozmyty i podlega stosunkowo swobodnej interpretacji – konsekwencją jest trudna do uchwycenia definicja antagonisty. Niemniej, najbardziej niebezpieczną formą takiego sposobu myślenia jest romantyzowanie przemocy i dominacji.

Przymykanie oka

Blisko rok temu George R. R. Martin w jednym z wywiadów przyznał, że jednym z jego ulubionych bohaterów z historii Westeros jest Daemon Targaryen, człowiek odznaczający się szarą, trudną do oceny moralnością. Charyzma grającego go Matta Smitha znacząco wpłynęła na osąd decyzji podejmowanych przez postać. Jedne z najbardziej kontrowersyjnych, a zarazem karykaturalnych sekwencji scen, zostały umieszczone w finale sezonu „Domu Smoka”. Rozżalony, pełen gniewu książę Łotrzyk zaczyna dusić Rhaenyre na wieść o prawdzie przekazanej tylko jej przez ojca. Dynamika czynu spowodowana nagłym nagromadzeniem się negatywnych emocji jest irracjonalna. Uczucie to znika w finale odcinka, gdy Daemon przekazuje ukochanej informację o śmierci syna. Po agresywnym tyranie nie ma śladu – zostaje uwieczniony jako archetyp troskliwego i opiekuńczego męża. Żłudzenie oddaje poczucie, że jest partnerem pozbawionym wad, o trudnej przeszłości warunkującej agresywne zachowanie. Kluczowym powodem ślepego romantyzowania lub przymykania oczu może być aparycja antyboha-

Czarny charakter – kocha, nie kocha?



Daemon Targaryen jest sztandarowym przykładem człowieka o szarej moralności.

”Amatorska twórczość osób przynależących do fandomu jest bogata w treści, pozwalające na głębszą eksplorację materiału. Potrzeba pozostania w intensywnym kontakcie z wybranym tekstem kultury często idzie w parze z reinterpretacją kanonu, co oznacza przetworzenie go na swój własny użytek.

tera. Mężczyznę o atrakcyjnych warunkach fizycznych obdarowuje się większym zaufaniem, a to zapewnia mu większą wiarygodność, co zostało trafnie opisane przez psychologa Bogdana Wojciszke w „Psychologii społecznej”. Mimo wad bohatera lubimy go obserwować, zwłaszcza gdy łamie obowiązujące normy społeczne, ponieważ sprawia nam to przyjemność i przy okazji zaspokaja potrzebę estetyki.

Człowiek z krwi i kości

Teoria Jacquesa Lacana, francuskiego psychoanalityka, opisuje nasze odbicie w lustrze jako złożoną reprezentację własnego „ja”. Jest to skomplikowany obraz, składający się z wielu klisz, które odzwierciedlają nasze niedoskonałości i zalety, a także przechowują wspomnienia. Poszukiwanie wad podobnych do naszych reguluje niepokój związany z ich istnieniem, jednocześnie wzmacniając poczucie bliskości. Utożsamienie się z głównym antagonistą bywa przyjemniejszym doświadczeniem, ponieważ w jego działaniach możemy odnaleźć samych siebie. Na pomoc znowu przychodzi nam Bernadetta Barska, podkreślająca, że jest to efekt jawnej deklaracji negatywnych uczuć, jakie mamy w zwyczaju ukrywać.

Podobnie jak rozbudowany wizerunek, który Lacan określił jako

równy w trylogii Avengers, jak i w poświęconym mu serialu, może być lustrzanym odbiciem naszych własnych wątpliwości. Z jednej strony emanuje szeregiem doskonałości – inteligencją, odwagą i kąśliwym humorem, a z drugiej, jak każdy człowiek, jest obciążony słabościami, błędami i wewnętrznymi konfliktami. Robi wszystko dla zdyskredytowania Thora w oczach ojca, aby na koniec dobrowolnie poświęcić dla niego własne życie. W tym obrazie widzimy nie tylko antago-

nistę sagi superbohaterów, ale zwłaszcza ludzką istotę z krwi i kości, która zmagą się z własnymi demonami i pragnieniami. Owe „sprzeczności” zbliżają nas do niego, bo sami nie jesteśmy idealni. Ulegamy potrzebie heroizacji czynów postaci, ponieważ chcemy postawić się w dobrym świetle – unikamy prawdy o naturze Lokiego, bo nie chcemy postrzegać się jako kłamcy.

Historie napisane na nowo

Amatorska twórczość osób przynależących do fandomu jest bogata w treści, pozwalające na głębszą eksplorację materiału. Potrzeba pozostania w intensywnym kontakcie z wybranym tekstem kultury często idzie w parze z reinterpretacją kanonu, co oznacza przetworzenie go na swój własny użytek. Zmiany wprowadzone wedle własnego upodobania są pokłosiem potrzeby uzewnętrzniania przekonań, które bywają niezgodne z zamysłem reżysera czy pisarza. Na kanwie zeszłorocznej premiery „Rodu Smoka” powstało wiele opowiadań, które osadzały Daemona Targaryena w relacji z postacią umieszczoną w uniwersum. Jednym z nich jest „Twin flames” autorstwa „heartys-world”, które opowiada o szczęśliwym małżeństwie dwójki bohaterów, zmagającym się z problemem braku potomka. Fan-fiction skupia się na wykreowaniu pozytywnych stron charakteru głównego bohatera, wykorzystując wady jedynie jako środek wytknięcia opinii publicznej posiadania błędnego przekonania. Z przyjemnością sięgamy po znane historie i opowiadamy je na nowo, kierując się koniecznością zaprowadzenia porządku poznawczego.

Oliwia GÓRSKA



Loki, mimo upodobania do kłamstwa, cieszy się popularnością wśród fanów.

Źródło: Materiały prasowe HBO MAX

Źródło: Materiały prasowe Disney+

Festiwalowe **dolce far niente**

W tym roku, przez trwający w USA strajk SAG-AFTRA, słoneczny festiwal w Wenecji pozbawiony był najjaśniejszych gwiazd Hollywoodu. Dziennikarze narzekali na brak wywiadów, fani czatujący tuż obok czerwonego dywanu nie mieli dla kogo rozstawiać namiotów i parasolek, a krytycy między filmami leniwie wygrzewali się na plaży. Na żadnym innym festiwalu z europejskiej „wielkiej trójki” czas nie płynie tak spokojnie i przyjemnie jak w La Biennale di Venezia.

Jeszcze kilka edycji temu, by zdobyć bilety na najgłośniejsze premiery festiwalu, trzeba było wczesnym rankiem ustawić się w gargantuicznej kolejce do kas, od Mestre po skraj Lido. Po pandemii walka o miejsca w sali kinowej przeniosła się do przestrzeni wirtualnej. I choć wizja codziennej pobudki o wschodzie słońca i długiego koczowania pod centrum festiwalowym dziś nie brzmi już tak zachęcająco, wielu uczestników wspomina ten okres z uśmiechem i nostalgią. Był to w końcu idealny czas na poznawanie nowych ludzi i poszerzanie filmowych horyzontów. Jedni kończyli naprędce recenzje, dyskutując z nieznajomymi o konkursowych seansach, drudzy uprawiali casualowy networking, a jeszcze inni dywagowali o kondycji współczesnego kina, popijając przy tym espresso w małym kubeczku. Poznajcie Wenecję w pigułce.

Zorganizowany bałagan

Tym razem, organizatorzy pozytywnie zaskoczyli przedstawicieli branży filmowej dzięki ulepszoneму systemowi rezerwacji seansów. Poranne „klikanie” nastąpiło już na kilka dni przed rozpoczęciem festiwalu, dzięki czemu podróżujący do Wenecji widzowie nie musieli, jak w zeszłym roku, o 7 rano zamartwiać się, jak bez zasięgu zarezerwować film w samolocie. Marcin Prymas, dziennikarz filmowy portalu Pełna Sala, nie bez powodu nazywa festiwal „najbardziej chaotyczną imprezą w kalendarzu festiwalowych korespondentów”. Faktycznie, organizacji daleko do ideału, a jednak weneckiemu Biennale nie można odmówić specyficznego uroku. I choć w Biurze Prasowym nie brakuje hordy wiecznie niewyspa-



Zdjęcie: Daria Sienkiewicz/Fenestra

Letni klimat oraz magia kina to znaki szczególne festiwalu na Lido.

Minęło już osiem lat, odkąd pierwszy wyprodukowany przez Netflix film zagościł na festiwalu filmowym w Wenecji. Od tego czasu wiele zmieniło się na rynku festiwalowym. „Beasts of No Nation” w reż. Cary’ego Joji Fukunagi utorował wenecką ścieżkę streamingowym gigantom.

nych i goniących dedlainy dziennikarzy, a aktorów i reżyserów otaczają okazałych rozmiarów ochroniarze o poważnym wyrazie twarzy, na Lido i tak czuć unoszącą się w powietrzu instagramową aurę *dolce far niente*.

Filmowe menu

Festiwal w Wenecji zazwyczaj potrafi usatysfakcjonować nawet najbardziej wymagających kinomanów. O różnorodność tegorocznej selekcji zapytałam Marcina Prymasa – Jak co roku program stanowił prawdziwy roller coaster emocji, od netflixowych i oscarowych hitów aż po fascynujące eksperymenty w duchu „Aggro Drift”, mesjasza współczesnej amerykańskiej kinematografii, Harmony’ego Korine’a. Po festiwalu pozostaje się tylko cieszyć ze zwycięstwa, tak pastelowej, co i mrocznej jednocześnie, udanej wersji „Barbie”, czyli wspaniałych „Biednych istot” Yorgos Lanthimos i rozpaczając, że z polskiego kina, na tego typu imprezy, wciąż selekcjonuje się tylko społeczne „snuje” o trudach życia (a także zastanawiać się, jakim cudem Małgorzata Szu-

mowska is still a thing) – dodaje z przekąsem.

Faktycznie, w sekcji konkursowej nie brakowało kina zaangażowanego społecznie czy politycznie. „Io Capitano” w reż. Matteo Garrone oraz „Zielona Granica” Agnieszki Holland odślaniały widzom wadliwość współczesnej polityki migracyjnej Europy i bezradność uchodźców wyrzucanych poza nawias społeczeństwa. Podczas gdy włoski reżyser w przejmujący sposób malował na ekranie losy dwóch przyjaciół z Senegalu usiłujących przedostać się bezpiecznie do UE, polska twórczyni rozpostarła przed międzynarodową publicznością kulisy kryzysu humanitarnego rozgrywającego się na granicy białorusko-polskiej.

Inne filmy stojące blisko człowieka (oraz życia ogółem) to również neobarokowy „Dogman” Luca Bessona; traktujące o demencji „Memory” Michela Franco czy oddająca głos polskim osobom trans „Kobieta Z” w reż. Małgorzaty Szumowskiej i Jana Englerta. Pierwszy z nich przedstawia barwną i wzruszającą historię o skrzywdzonym w

dzieciństwie mężczyźnie, który psychiczne ukojenie odnalazł w miłości do psów oraz teatru. Kampowa estetyka, protagonista o szarej moralności, drag shows z Édith Piaf i Marilyn Monroe – dzieło Bessona to dla mnie największe zaskoczenie tegorocznego konkursu. Z kolei „Memory”, najdojrzałszy dotąd w karierze obraz Franco, przyniósł Peterowi Sarsgaardowi nagrodę Coppa Volpi za wybitną, dogłębnie poruszającą rolę cierpiącego na niepaamięć Saula. Drugi polski akcent w Wenecji, czyli film duetu Szumowska & Englert, mimo braku pierwszostki świeżości na tle queerowego kina międzynarodowego, ze względu na swój aktywistyczny charakter i wrażliwe podejście do postaci, może okazać się ważny i przełomowy dla rodzimej twórczości filmowej.

Paradoks Netflix

Minęło już osiem lat, odkąd pierwszy wyprodukowany przez Netflix film zagościł na festiwalu filmowym w Wenecji. Od tego czasu wiele zmieniło się na rynku festiwalowym. „Beasts of No Nation” w reż. Cary’ego Joji Fukunagi utorował wenecką ścieżkę streamingowym gigantom. Podczas gdy Thierry Frémaux, dyrektor festiwalu w Cannes, nadal zabrania filmom Netflix startować w konkursie głównym, na Lido wita je z otwartymi ramionami. W tym roku o Złotego Lwa walczyło aż pięć filmów wyprodukowanych przez amerykań-

ski serwis. Mogłoby się wydawać, że wielkie budżety i nieograniczona wolność twórcza są gwarantem festiwalowych nagród i pozytywnych recenzji krytyków. Nieokielznane ambicje reżyserów oraz chaos scenariuszowy to jednak największe bolączki produkcji VOD.

Paweł Szruba, dziennikarz i entuzjasta kina z portalu Immersja, przyznaje, że największym zawodem Biennale okazały się dla niego właśnie filmy Netflix – Streamingowy gigant zaprezentował weneckiej publiczności m.in. trzy głośne i oczekiwane filmy: hucznie zapowiadany thriller Davida Finchera, drugi reżyserski projekt Bradleya Coopera oraz najnowszy film Pablo Larraína. O ile po „El Conde” nie spodziewałem się zbyt wiele, tak zarówno „Maestro” oraz „The Killer” doścześnie mnie rozczarowali. Film Finchera jest wyjątkowo przeciętny treściowo oraz formalnie. „Maestro”, z kolei, to przede wszystkim smutny obraz wielkiego reżyserskiego ego, za którym nie idzie nic poważnego. Trudno powiedzieć, na ile mizernieść i nijakość filmów jest winą twórców, a na ile efektem współpracy z Netflixem. Być może to rozpędzona maszyna zbudowała zbyt wysokie oczekiwania? Prawda pewnie leży gdzieś pośrodku – zastanawia się Paweł, który mimo kilku niespełnionych oczekiwań, festiwal na Lido wspomina bardzo ciepło. – Na koniec dnia zawsze wygrywa kino – dodaje z entuzjazmem.

Dla wielu osób z branży, w tym Adriany Prodeus, krytyczki filmowej piszącej m.in. dla Vogue'a oraz Miesięcznika „Kino”, skład grona laureatów nie był zaskoczeniem – Trudno o werdykt bardziej zgodny z bukmacherskimi przewidywaniami niż tegoroczny: „Biedne Istoty” Lanthimosa od początku były faworytem, któremu mógł zagrozić tylko film Agnieszki Holland, będący jednak większym wyzwaniem dla festiwalowego widza. A że Wenecja stawia często na przedoscarowe wybo-

ry, „Zielonej Granicy” zdecydowano się przyznać nagrodę specjalną Jury. Wyróżniony statuetką debiutant Seydou Sarr za główną rolę w drugim uchodźczym filmie w konkursie, „IO Capitano”, Matteo Garrone wcielił los, o którym opowiada też polski film, ale akurat tu z optymistycznym zakończeniem – komentuje moja rozmówczyni.

Międzynarodowe jury pod przewodnictwem Damiena Chazelle'a, najmłodszego laureata Oscara za reżyserię, doceniło tytuły odzna-

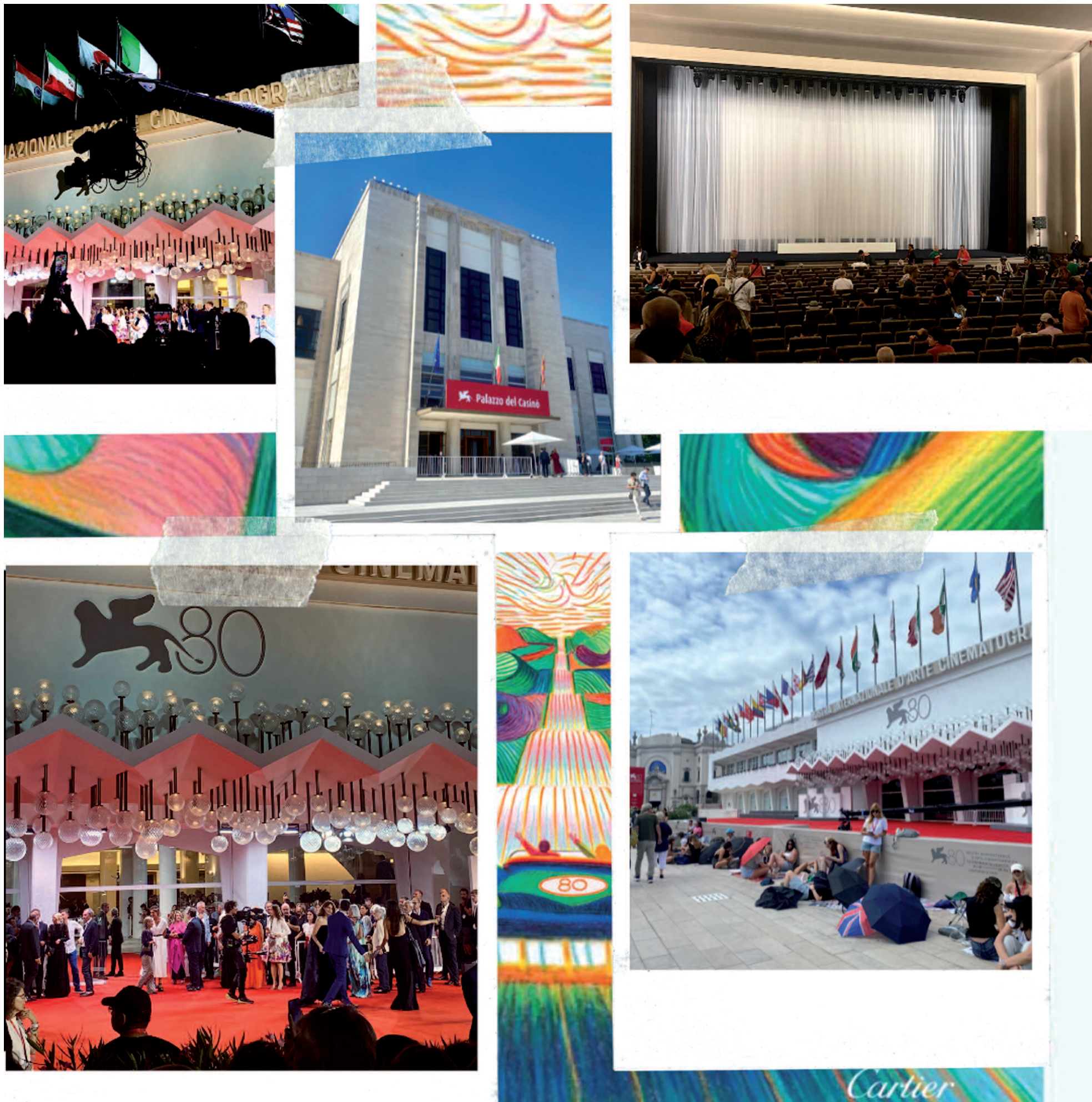
czające się autorskim rysem, poruszające tematy odważne, a zarazem uniwersalne i aktualne. Zwycięzca konkursu, feministyczne „Biedne Istoty” to kwintesencja wyjątkowego fantasmagorycznego stylu Yorgosa Lanthimosa – emancypacyjna historia o kobiecie, która kroczy przez życie na przekór społecznym konwenansom i krzywdzącym dla społeczeństwa stereotypom płci. Emma Stone daje na ekranie fenomenalny popis swojego komediowego, jak i dramatycznego talentu,

który z pewnością przyniesie jej oscarową nominację. Statuetkę Grand Jury za drugi najlepszy film zgarnął eksplorujący temat ekologii, szczerzy do bólu „Evil Does Not Exist” w reż. Ryusuke Hamaguchiego, odsłaniający hipokryzję antropocentrycznego podejścia człowieka do natury.

Wenecka impreza gwarantuje widzom różnorodność filmowych doznań, od wstrząsających i skłaniających do refleksji dzieł Holland i Hamaguchiego, po komedio-

we i rozbijające humorem filmy Richarda Linklatera („Hitman”) oraz Quentin Dupieux („Daaaaaa-li”). Łzy radości miesają się ze łzami smutku, a jedno emocjonalne katharsis goni drugie. Gdy już raz wsiądzie się na festiwalowy rollercoaster, nie sposób z niego zejść. – Wenecja chce poruszać ważne tematy, ale dba o to, byśmy z kina wyszli zadowoleni, jakkolwiek cierpko to brzmi – czyta mi w myślach Adriana.

Daria SIENKIEWICZ



Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji w tym roku odbył się po raz 80.

Van Gogh na wielkim ekranie

Van Gogh był człowiekiem niezwykłym. Większość zna go jako wielkiego artystę słynącego z impresjonistycznego stylu. Nie wielu jednak wie, że, co zaskakujące, malować zaczął dopiero kilka lat przed ukończeniem 30. roku życia. Mimo to, udało mu się stworzyć ponad 2000 dzieł. Niestety, nękająca go choroba psychiczna doprowadziła do jego przedwczesnej śmierci. Van Gogh należy do genialnych, którzy nie wykorzystali pełni swojego potencjału – podobnie jak, niestety, poświęcona mu poznańska wystawa.

Multisensoryczna ekspozycja największych dzieł artysty miała być wydarzeniem zorganizowanym na poziomie światowym. Można było ją zobaczyć m.in. w paryskim muzeum „Atelier des Lumières”, Nowym Jorku, Las Vegas, Dubaju, a teraz w stolicy Wielkopolski na Targach Poznańskich. Twórcy zapewniają nas o użyciu najnowszych technologii, gwarantując niezwykłość doświadczenia. Digital Art 360 to metoda stosowana w sztuce od niedawna, polegająca na wyświetlaniu obrazów w wielkoformatowym kształcie. Całości spektaklu dopełnia odpowiednio dobrana muzyka oraz głos aktora Roberta Gulaczyka. Organizatorzy obiecują również przedstawić odbiorcom unikalną wieź Vincenta z młodszym bratem Theo, będącym powiernikiem i wsparciem dla malarza. Rodzeństwo wymieniło ze sobą ponad 600 listów, w których artysta obnażał całą swoją duszę: pisał o trawiącej go chorobie, złudnych nadziejach i nieudanych miłościach. Mimo tak bogatych zasobów materialnych, jak i niematerialnych, wystawa niestety nie wciąga widza i z pewnością nie zaspokaja nawet najbardziej „wytrawnych znawców jego twórczości”, o czym próbuje przekonać opis wydarzenia.

Oczekiwania a rzeczywistość

Wystawa na poznańskich Targach prezentowana jest w dwóch pomieszczeniach. W pierwszym z nich znajduje się 21 kopii prac artysty. Do każdego obrazu jest dołączona tabliczka informująca o roku powstania, technice i okolicznościach, w których został stworzony. Istnieje możliwość wysłuchania tej informacji za pomocą kodu QR, który przenosi nas na stronę internetową z nagraniami kieszon-



Zdjęcie: Oliwia Mazioła/Fenestra

Na Targach można również zobaczyć oś czasu, która prezentuje kilka mniej lub bardziej istotnych i mających wpływ na dzieła Vincenta życiowych faktów: m.in. informacji o fascynacji kuzynką, która odrzuciła jego załoty.

jakości, brzmiącymi jak darmowy generator mowy. To jedna z pierwszych wad odbierających urok ekspozycji. Za zaletę wystawy można za to uznać chronologiczny sposób ułożenia obrazów, co w przypadku van Gogha wydaje się niezwykle ważne, ze względu na możliwość poznania głębiej jego portretu psychologicznego.

Vincent pomieszkował swego czasu w Holandii, Belgii, Francji oraz Anglii. Swoją przygodę z wielkoformatowymi obrazami rozpoczął inspirować się pracą najuboższych i to właśnie tę warstwę społeczną przedstawiały wszystkie jego dzieła z tamtego okresu. Vincent próbował sprzedawać je z pomocą Theo, który był

Artysta traktował słoneczniki jako swój podpis

handlarzem sztuki, jednak jego wytwory za bardzo odbiegały od ówczesnej mody. Artysta musiał zmienić swoje otoczenie. Następne lata spędził we Francji, co znacznie rozwinęło jego styl malarski. Z początkowych realistycznych szkiców, jego dzieła przeistoczyły się w quasi-impresjonistyczne krajobrazy oraz portrety. Jest to jeden z ciekawszych wątków jego życia mogący znacząco urozmaicić wystawę, która niestety, wydaje się spłaszczać wydzwięk twórczości Holendra.

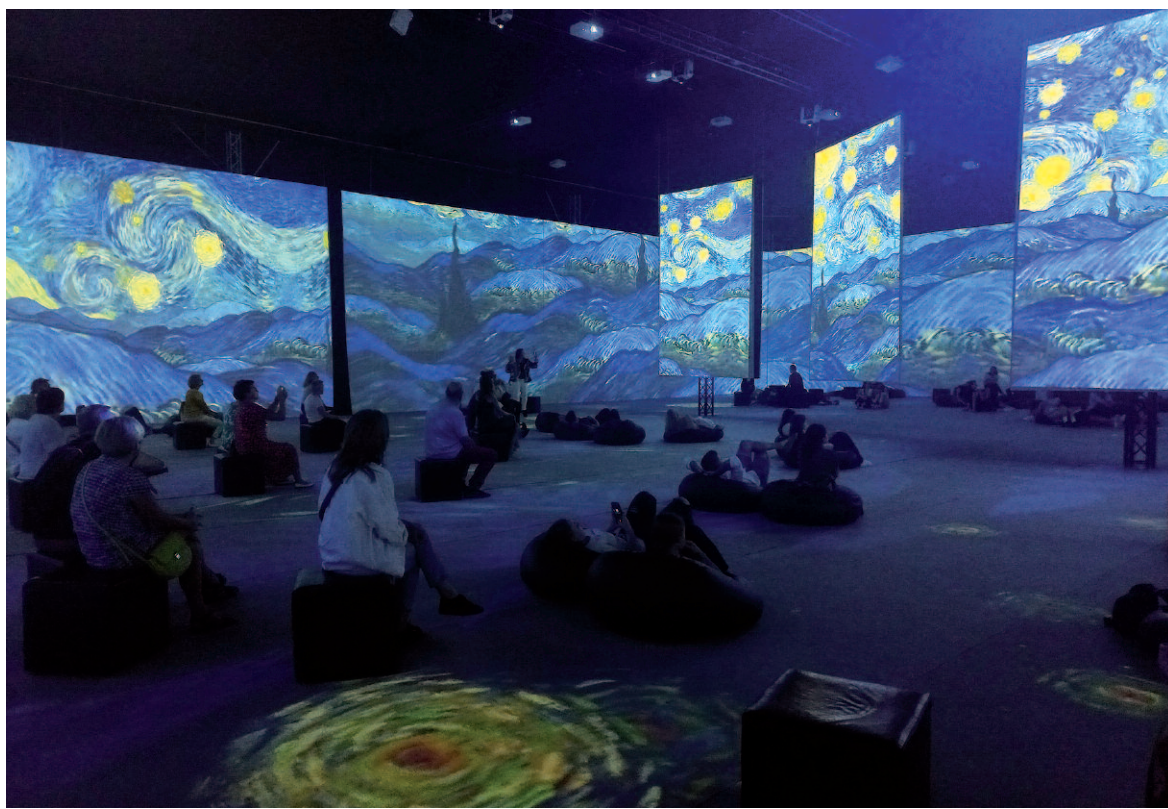
Na Targach można również zobaczyć oś czasu, która prezentuje kilka mniej lub bardziej istotnych i

mających wpływ na dzieła Vincenta życiowych faktów: m.in. informacji o fascynacji kuzynką, która odrzuciła jego załoty. Zapomniano jednak wspomnieć o znacznie bardziej kontrowersyjnej i znaczącej dla jego życia kobiecie, mianowicie o Clasi- nie „Sien” Hoornik, szwaczce, prostytutce, a także kochance van Gogha. Gdy artysta zamieszkiwał w Hadze, związał się z Sien, która miała już córkę i spodziewała się kolejnego dziecka. Był to bardzo specyficzny związek, zakończony kolejną daleką podróżą malarza. Po ich związku pozostały liczne rysunki kobiety, jak i jej potomków oraz matki. Biorąc pod uwagę wpływ Sien na dorobek męczyzny, jej postać zasłużyła sobie na wystawie chociażby na wzmiankę.

W drugim pomieszczeniu zastosowano technologię Digital Art 360. Z tego powodu pokój wywoływał większe zainteresowanie, szczególnie licznych wycieczek z młodszymi koneserami sztuki. Na podłodze rozłożono puffy oraz poduszki, aby móc się równocześnie relaksować i podziwiać widowisko. Ogromną zaletą tej metody są płynne przejścia pomiędzy obrazami oraz idealnie dobrana muzyka do nastroju poszczególnych dzieł. Przy pierwszych pracach van Gogha utrzymany w ciemnych barwach, wybrzmiewała poważna, lekko złowieszcza muzyka, za to późniejszym dziełom towarzyszyły lżejsze tony, odpowiadające żywym, jasnym kolorom.

Zawodem okazała się narracja aktora Roberta Gulaczyka, który wygłosił zaledwie kilka cytatów z listów Vincenta do Theo. Aby je lepiej zrozumieć, należy jednak głębiej zapoznać się z życiem Holendra. Wtedy z pewnością jego dziedzictwo okaże się dla odbiorcy zupełnie nową rzeczywistością, czystą kartką, którą można zapełnić własnym wyobrażeniem o tej niezwykłej osobie oraz równie niezwykłej twórczości. Niestety wystawa nie wykorzystuje potencjału zarówno artysty, jak i technologii. Z pewnością może zaintrygować laików sztuki, lecz nie zaspokoje oczekiwania bardziej wymagających odbiorców, zwłaszcza po przeczytaniu licznych obietnic organizatorów. Zarządzająca dorobkiem Vincenta żona Theo, opublikowała listy rodzeństwa wiele lat po tym, jak świat wreszcie zaczął doceniać obrazy twórcy, twierdząc, że najpierw należy zachwycić się jego obrazami, a dopiero potem uzupełnić je o rys biograficzny. Mimo że współcześnie nazwisko van Gogha jest marką samą w sobie, jego życie nadal pozostaje zagadką pełną niedopowiedzeń. Nie dosyt, który pozostawia po sobie ekspozycja, można zastąpić własnymi poszukiwaniami kolejnych twórcy artysty.

Zdjęcie: Oliwia Mazioła/Fenestra



Wystawa van Gogha wykorzystuje Digital Art 360 w praktyce

Cztery kluby w Orlen Superligach, dwa na ich zapleczach, kilka zespołów w ligach regionalnych. To bilans Wielkopolski na start sezonu 2023/2024 w piłce ręcznej. Stan wielkopolskiego szczypiorniaka jest naprawdę niezły. Można rzec nawet, że... od dawna nie był tak dobry. Co słysząc w klubach z regionu, reprezentujących tę – mimo wszystko dość niszową – a jednak niezwykle emocjonującą dyscyplinę sportu?

Pozostać w elicie – taki cel przyświeca wszystkim wielkopolskim ekipom, które oglądać możemy na parkietach obu Orlen Superlig. Wśród kobiet drugi sezon na najwyższym poziomie rozgrywkowym spędzi MKS Urbis Gniezno. Zaprawione w bojach, nieco bardziej doświadczone niż przed rokiem, „Pszczółki” w tym sezonie mogą wmieszać się w walkę o uczestnictwo w fazie play-off. W zespole z Gniezna na liderki dość nieoczekiwanie wyrosły Żaneta Lipok i Martyna Hartman, zdejmując nieco brzemień odpowiedzialności z reprezentantki Polski – Moniki Łęgowskiej.

Inaczej sytuacja wygląda w zespole beniaminka, AWS Energa Szczypiorno Kalisz. Po wygraniu turnieju barażowego o awans do najwyższej klasy rozgrywkowej, kaliszanki zderzyły się z brutalną rzeczywistością, przegrywając pierwsze pięć spotkań. O ile więc zespół z Gniezna o swój ligowy byt powinien być raczej spokojny, tak ten z Kalisza – już niekoniecznie. Zwłaszcza, że kadra zespołu jest dość wąska...

Zostając jeszcze w Kaliszu, zerkamy do Orlen Superligi Mężczyzn, gdzie w minionym sezonie kaliski MKS niemalże cudem uniknął spadku do Ligi Centralnej, finiszując zaledwie jeden punkt nad strefą spadkową. W tym sezonie scenariusz może się powtórzyć, a sytuację MKSu ratuje na dziś jedynie fatalna postawa beniaminków w Legionowa. Oba zespoły z Kalisza czeka więc zacięta walka o ligowy byt, a kibiców emocje do ostatniej kolejki.

Rewelacja z potencjałem

Inaczej niż w Kaliszu wygląda sytuacja w Ostrowie Wielkopolskim – w sezonie 2022/2023, jako beniaminek szturmował zawojował parkiety Orlen Superligi, zajmując wysokie, siódme miejsce i wykręcając topowe frekwencje w lidze. 3mk Arena Ostrów jest bez wątpienia ogromnym atutem klubu. Liczba fa-

Handballowy podbój Wielkopolski



Radość i emocje po wygranych meczach – tego oczekują kibice szczypiorniaka!

”Co słysząc w ligach regionalnych, w których zespoły walczą o awans do Ligi Centralnej? Wśród Pań w rywalizacji możemy oglądać Pyrki Poznań, Bukowsko-Dopiewski KS i rezerwy ekipy z Gniezna. Żadna z tych formacji nie jest jednak faworytem do awansu.

nów, śledzących rywalizację ligową Arged Rebud Ostrovii jest większa od tej, śledzącej mecze Industarii Kielce czy Orlen Wisły Płock.

Wzmocniony przed sezonem zespół (dołączyli do niego m.in. czeski obrotowy, Daniel Reznicki, który fenomenalnie prezentuje się od początku sezonu, czy młody skrzydłowy z SMS ZPRP Kielce – Filip Rybarczyk) czeka spokojna walka o środek tabeli. A może nawet o coś więcej? W tym sezonie do rozgrywek Orlen Superligi wraca uwielbiana przez kibiców faza play-off, a w walkę o awans do niej z pewnością włączy się Ostrowia.

Ambicja i pokora

Te słowa najlepiej oddają podejście dwóch zespołów z Wielkopolski, które mamy okazję oglądać na parkietach obu Lig Centralnych piłki ręcznej w Polsce. „Obu”, bo w tym roku po raz pierwszy mamy do czynienia z Ligą Centralną kobiet. Dopiero dwa lata po wprowadzeniu nowego poziomu rozgrywkowego dla mężczyzn, ZPRP zdecydował się na utworzenia takowego również dla Pań.

Tam oglądać możemy ekipę Enea Piłka Ręczna Poznań, do której to idealnie pasuje właśnie słowo „ambicja”. Poznanianki od samego początku – zwłaszcza w przedsezonowych wypowiedziach – prezentowały niezwykle ambitne podejście.

Szkoleniowczyni zespołu, Amelia Chmielewska w wypowiedziach dla WTK czy Radia Poznań śmiało mówiła o tym, że celem jej zespołu są miejsca dające awans, lub możliwość gry w barażach o Orlen Superligę.

Apetyty Poznanianek rozbudził na pewno fakt gry w barażach o Orlen Superligę, po zajęciu dobrej lo-

katy w dawnej lidze pierwszej. Tam jednak nadeszła bolesna weryfikacja i trzy wysokie porażki, w tym z Młynami Stośław Koszalin – aż 17:39. Początek tego sezonu również nie należał do najtwardszych – porażki z ekipami z Żor i Chorzowa dość brutalnie zahamowały marcowe plany Poznanianek, choć z pewnością zespół Chmielewskiej ma potencjał, aby zakręcić się w górnej części tabeli.

Bez założeń i zamiarów

Wyżej wymieniona zaś pokora charakteryzuje weteranów Ligi Centralnej, którzy spędzą w niej trzeci sezon – Nielbę Wągrowiec.

Żółto-Czarni dwa poprzednie sezony spędzili w dole tabeli, ale ani razu nie musieli drżeć o utrzymanie. Dyrektor sportowy klubu, Daniel Kurpiński w rozmowie z Grzegorzem Hałasikiem w „Sportowej Arenie” Radia Poznań mówił o celowaniu w środek tabeli. Taki też zdaje się być potencjał tego zespołu.

Wzmocniony m.in. byłymi graczami Grunwaldu Poznań – Kacprem Siejkiem i Erykiem Bernackim zespół nie ma co liczyć na awans do Orlen Superligi. Na przeszkodzie stoją tu finanse, bo – jak niemal każdy klub w Polsce – Nielba musi liczyć się z problemami finansowymi i brakiem dużych sponsorów. Niewiele mówi się o tym, jak wiele klubów z mniejszych ośrodków kosztuje gra w Lidze Centralnej, która nie jest już w żaden sposób podzielona regionalnie. Lwią część budżetu pożerają same koszty transportu.

Regiony do boju!

Co słysząc w ligach regionalnych, w których zespoły walczą o awans do Ligi Centralnej? Wśród Pań w rywalizacji możemy oglądać Pyrki Poznań, Bukowsko-Dopiewski KS i rezerwy ekipy z Gniezna. Żadna z tych formacji nie jest jednak faworytem do awansu.

Co innego wśród mężczyzn, gdzie kolejny raz o awans ma walczyć Grunwald Poznań. Wojskowym może pomóc tu... ich grupa, która nie należy do najmocniejszych. Najpoważniejszym rywalem Grunwaldu będzie zespół GOKiS Kąty Wrocławskie, a także coraz śmielej poczynający sobie na parkietach I ligi regionalnej Real Astromal Leszno. Trudniejsze zadanie ma przez sobą chociażby Sparta Oborniki, która, grając w innej grupie, musi mierzyć się z bogatymi i świetnymi zespołami z Olsztyna i Koszalina.

Kacper BAGROWSKI



Wielkopolska piłka ręczna rozwija się prężnie

Lot polskiej reprezentacji w kierunku Mistrzostw Europy 2024 ponownie wpadł w nieoczekiwane turbulencje. Porażka z Albanią utrudniła kwestię bezpośredniego awansu. Wyniki osiągnięte przez kadrę przyczyniły się do zwolnienia Fernando Santosa. Wraz z wyborem na stanowisko selekcjonera Michała Probiezra rozpoczęło się nowe rozdanie w polskiej piłce.

Fernando Santos, niezwykle doświadczony portugalski trener, objął posadę selekcjonera reprezentacji Polski 24 stycznia bieżącego roku. W spadku po Czesławie Michniewiczu dostał drużynę, która – choć zakwalifikowała się do fazy pucharowej katarskiego mundialu – była owiana naprawdę złą sławą. Zarzuty dotyczące nadmiernie stosowanego defensywnego stylu gry, jak i pokłosie afery premiowej skłoniły prezesa PZPN-u Cezarego Kuleszę do poszukania nowego rozwiązania. Część opinii publicznej przyjęła ze sporą nadzieją fakt, że najważniejszą piłkarską drużynę w kraju poprowadzi trener mający na koncie zdobycie tytułu mistrza Starego Kontynentu. Santos w dotychczasowej selekcjonerskiej karierze opiekował się kadrą Grecji oraz Portugalii.

Nadzieja z Portugalii

Z zespołami prowadzonymi przez Santosa Polacy nigdy nie potrafili sobie poradzić. W meczu otwarcia Euro 2012 Polacy zremisowali z Grekami 1:1, na Euro 2016 piłkarze Adama Nawalki musieli uznać wyższość późniejszych triumfatorów z Portugalii, którzy zwyciężyli wówczas w pamiętnych rzutach karnych. Santos dwukrotnie mierzył się również z drużyną Jerzego Brzęczka. Oba spotkania rozgrywane były w ramach Ligi Narodów. W Chorzowie zawodnicy z Półwyspu Iberyjskiego wygrali 3:2, w rewanżu zaś padł remis.

Sceptycy doszukujący się wad w kandydaturze Fernando Santosa utwierdzili się w swoim przekonaniu wraz z początkiem eliminacji do przyszłorocznych Mistrzostw Europy rozgrywanych w Niemczech. Kadrowicze już po trzech minutach wyjazdowego meczu z reprezen-



Fernando Santos zdecydowanie nie sprawdził się w roli selekcjonera kadry

tacją Czech mogli poczuć się jak bokser zamroczony po mocnym ciosie. Trzeci gol strzelony w drugiej połowie przez Czechów dopełnił obrazu beznadziei. Gol na 1:3 nie przyniósł ukojenia. Kolejny mecz, który nikogo nie mógł zachwycić to skromne zwycięstwo 1:0 z Albanią.

Dobry prognostyk przed wyjazdem do Kiszyniowa stanowiła towarzyska wygrana z Niemcami. Pełna kontrola nad grą w pierwszej połowie nie zwiastowała przyszłej tragedii, którą bez wątpienia był wyjazd do Mołdawii i jedna z największych klęsk w historii reprezentacji Polski. Dodatkowo wśród gości PZPN-u zaproszonych na ten mecz znalazł się m.in. Mirosław Stasiak – działacz powiązany z ligową korupcją i ciemnymi czasami polskiej piłki. Atmosfera wokół kadry stała się katastrofalna.

Żegnaj, piękny Fernando

Kolejne problemy uwypuklił wrześnieowy wywiad Roberta Lewandowskiego udzielony stacji Eleven Sports oraz portalowi Meczyki. Kapitan odniósł się do problemu

dotyczącego braku charyzmy i osobowości w polskiej kadrze. Jego zdaniem młodzi piłkarze boją się lub nie chcą przejąć odpowiedzialności za zespół, wyraził również swoją dezaprobatę w stosunku do standardów panujących w PZPN-ie. Późniejsze mecze, a zwłaszcza (znów) kompromitująca porażka 0:2 w Tiranie z Albanią, oznaczały już przekreślenie większości szans na spokojny awans na Mistrzostwa Europy i były łabędzim śpiewem Santosa. Kulesza postanowił rozwiązać kontrakt z portugalskim szkoleniowcem.

Podsumowując krótką kadencję Santosa, trudno znaleźć w niej jakiegokolwiek pozytywne aspekty. Znikomy dorobek punktowy w teoretycznie mało wymagającej grupie eliminacyjnej. W kadrze nie pojawiły się żadne nowe twarze, wykreowane przez selekcjonera. Portugalczyk potrafił podejmować decyzję personalne, w których ciężko doszukiwać się jakiegokolwiek logiki. Nie interesował się polską piłką. Jego relacje z piłkarzami również nie należały do najlepszych. Cezary Kulesza popełnił błąd, chcąc za-

trudnić po prostu wielkie nazwisko – nie zrobił odpowiedniego researchu, nie dobrał trenera pod kadrę. Przyszedł czas na zmiany.

Gaszenie pożaru benzyną?

Tradycyjnie już po zwolnieniu selekcjonera ruszyła giełda nazwisk jego potencjalnego następcy. Zdaniem ekspertów, największe szanse na objęcie tego zaszczytnego stanowiska mieli Marek Papszun i Michał Probiezra. Maciej Skorża – inny naturalny kandydat – pozostawał związany umową z japońskim klubem Urawa Red Diamonds, z którym wygrał Azjatycką Ligę Mistrzów. Mówiono również o Janie Urbanie, jako trenerze, który bez problemu poprawiłby relację na linii selekcjoner-piłkarze.

Marek Papszun, który w minionym sezonie sięgnął po tytuł Mistrza Polski z Rakowem Częstochowa, zdawał się być idealnym kandydatem – faworytem dziennikarzy, kibiców i ekspertów. Wybór PZPN-u był jednak inny. 70. selekcjonerem w historii reprezentacji Polski został Michał Probiezra – dotychczas selekcjoner reprezentacji do lat 21,

a także... dobry znajomy Cezarego Kuleszy.

Jego przeszłość to ciągła sinusoida, ciąg wzlotów i upadków. Na okres dwóch kadencji Michała Probiezra przypadają największe sukcesy w historii Jagiellonii Białystok. To właśnie w tym klubie zaprzyjaźnił się z Kuleszą, który był wówczas prezesem klubu ze stolicy Podlasia. Po stronie sukcesów nowego selekcjonera należy wymienić Puchar Polski i Superpuchar Polski zdobyte z Jagiellonią w trakcie jego pierwszej przygody z Białymstokiem, a także tytuł wicemistrza Polski w sezonie 2016/17, podczas drugiej kadencji Probiezra w tym klubie. Sezon wcześniej białostoczanie zajęli niższe miejsce na ligowym podium.

W sezonie 2019/20, prowadząc Cracovię, powtórzył pucharowe sukcesy sprzed niemalże dekady. Klub z Krakowa wygrał Puchar Polski, dorzucając do tego krajowy Superpuchar. W tak zwanym międzyczasie był jednak trenerem niejednoznaczny. Odpowiadał za wyniki Polonii Bytom, Widzewa Łódź, ŁKS Łódź, GKS Bełchatów, Wisły Kraków czy Lechii Gdańsk. W ŁKSie do dziś wspominany jest z łezką w oku jako człowiek, który pomógł klubowi w profesjonalizacji, ustalając w nim zupełnie nowe standardy organizacyjne. W Wiśle Kraków zaś najchętniej wymazaliby kadencję Probiezra z klubowych kronik, a nowy selekcjoner reprezentacji wspominany jest tam jako jeden z najgorszych trenerów w historii klubu. To zwyczajnie szkoleniowiec nieprzewidywalny. Czy jednak kogoś takiego potrzebuje teraz reprezentacja Polski?

Teraz przed Michałem Probiezrą stoi najważniejsze wyzwanie w karierze. Stagnacja towarzysząca kadencji Fernando Santosa i błędy PZPN-u doprowadziły kadrę na skraj przepaści. Atmosfera wokół niej od wielu lat nie była tak fatalna, od drużyny narodowej odwracają się kibice i sponsorzy. Polacy na boisku wyglądają fatalnie – w niczym nie przypominają zespołu, a raczej sklejkę indywidualności, niezainteresowaną sukcesem. Brakuje świeżości, pomysłu, motywacji. Czy Probiezra stanie na wysokości zadania i udowodni wszystkim, że Kulesza miał nosa, decydując się na jego zatrudnienie? Odpowiedź na to i wiele innych pytań przyniosą nam następne tygodnie.

Łukasz KAWA

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.
Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań
email: fenestra.uam@gmail.com, **facebook:** www.facebook.com/gazeta.fenestra
ISSN 2658-2023



Redaktorka naczelna:

Kacper Zieleniak

Zastępczyni redaktora

naczelnego:

Daria Sienkiewicz

Redaktor działu

polityki

i społeczeństwa:

Karolina Szmygin

Redaktor działu sport:

Kacper Bagrowski

Redaktorka działu

kultura/Szefowa

działu foto:

Daria Sienkiewicz

Sekretarzynie redakcji:

Oliwia Górka

Koordinator

ds. warsztatów:

Remigiusz Różański

Korekta:

Hanna Jaskuła

Redaktor działu sport:

Kasia Chojnowska

Martyna Kościelska

Oliwia Syrek

Redakcja:

Adam Bratka

Agata Taszarek

Aleksander Rajewski

Daniel Mironczyk-Leśniak

Dominika Marciniak

Filip Stachowicz

Izabela Sulowska

Jagoda Nowak

Julia Jurek

Julia Remisz

Kacper Pocztarski

Karolina Szmygin

Łukasz Kawa

Marcelina Górka

Martyna Kościelska

Marta Nehring

Monika Lisiak

Olimpia Oliś

Oliwia Górka

Oliwia Maziopa

Oskar Kmak

Paulina Bączek

Paulina Juzak

Paweł Maksimczyk

Paweł Wesoły

Piotr Rydz

Roksana Michalska

Zuzanna Górna

Zuzanna Grzegorzewska

Zuzanna Zaremba

Opiekunowie redakcji:

Aleksandra Konieczna

Skład

Tomasz Szukała

Strona internetowa

www.gazetafenestra.pl

Facebook

www.facebook.com/gazeta.fenestra

Instagram

gazetafenestra

Twitter

/twitter.com/FenestraGazeta

Druk

Drukarnia w Bydgoszczy

ul. Grunwaldzka 229

85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.